



ALEKSANDER DUMAS (SYN)

Dama Kameliowa

ALEKSANDER DUMAS (SYN)

Dama Kameliowa

DRAMAT W 5 AKTACH

TŁUM. TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

OD TŁUMACZA

Nazywała się Alfonsyna Plessis i pasła gęsi. Była jeszcze dzieckiem, kiedy kwiatek jej cnoty przypiął sobie do kożucha jakiś pastuch. Miała lat piętnaście, kiedy w sabotach i zgrzebnej koszuli dostała się do Paryża. Z posługaczki zostaje gryzетка, to strojna tanim kosztem i błyszcząca na studenckich balach, to znów w nędzy, brudna, obdarta, włócząca się po Paryżu. Potem... gorzej jeszcze — aż wreszcie uroda jej znajduje „poważnie myślącego” nabywcę; a po tym mieszczechu nadchodzi wreszcie ten, który wprowadzi ją w sfery wysokiej „galanterii”: jest nim młody i świetny hr. de Guiche. Odtąd Alfonsyna Plessis, która zmienia swoje miano na wdzięczniejsze dla ucha „Maria Duplessis”, a z czasem dorabia sobie herby wiążące ją z tradycjami tej starej rodziny, zajmuje miejsce wśród gwiazd wesolego światka. Była kochanką, kolejno lub naraz, całej złotej młodzieży paryskiej. Mimo to, było w niej coś, co ją wyróżniało od koleżanek: pewna bezinteresowność kaprysu, szlachetność gestu, nuda, która ją żarła wśród całego zbytku, może poezja choroby i przecucie rychłego końca. Wrodzony takt, zmysł elegancji, zastąpił braki jej wykształcenia, które zresztą w pewnej mierze zdołała wyrównać. Nadawała ton. Była ozdobą wszystkich miejsc, gdzie błyszczał modny Paryż. „Wysoka, bardzo szczupła, brunetka, biała i różowa, miała małą głowę, oczy podługne jak na emaliach japońskich, wiśniowe usta, śliczne ząbki — figurynka z saskiej porcelany”. Taki rysopis podaje Dumas przedmowie do swojej sztuki. Była — choć bardzo młoda — w pełni blasku, kiedy spotkała to, co w jej świecie było uważane za najwyższy szczebel dostojeństwa kurtyzany: bogatego i utytułowanego cudzoziemca. Był nim hr. Stackelberg, eks-dyplomata rosyjski, starzec przeszło osiemdziesięcioletni, który, jak chce legenda — stworzona zresztą przez Dumasa — widział w niej jedynie portret zmarłej córki. Ale sam Dumas rozwił tę legendę. „Hrabia, mimo swego podeszłego wieku, nie szukał w Marii Duplessis Antygony jak Edyp, ale Bethsabei jak Dawid”... Nie nazywano jej zresztą za życia „Dama kameliową”, mimo że później miano stroić jej grób w wieńce z tego kwiatu.

Kiedy umarła licząc lat dwadzieścia trzy, śmierć jej stała się na kilka dni wydarzeniem. Takie pióra jak Gautier, Janin, poświęciły wzruszone wspomnienie tej, która była wdziękiem, kaprysem, ozdobą Paryża. Mimo to, dwie tylko osoby szły za jej trumną. Nie wypadało. Za to w trzy dni potem cały wykwinny świat tłoczył się w mieszkaniu przy bulwarze Madeleine, na licytacji jej sprzętów i kosztowności.

W epoce świetności Marii Duplessis poznał ją Aleksander Dumas, naturalny syn sławnego pisarza, wiodący wówczas dosyć płochy życie młodzieży paryskiej. Wzajemna żywa skłonność zbliżyła na chwilę tych dwoje; ale romans młodego a uczciwego chłopca bez majątku z luksusową kurtyzaną był romansem bez jutra; skończył się jakąś sprzeczką. Dumas wyjechał, podróżował z przyjaciółmi po Hiszpanii. Kiedy wrócił, dowiedział się o śmierci Marii. Opowiedziano mu jej samotny pogrzeb, opowiedziano przejmujące dlań dzieje wyprzedazy jej rzeczy. Z tego pierwszego wzruszenia, ze wspomnień, rzeczywistości i fantazji, urodziła się powieść *Dama Kameliowa* (1848). Powieść miała powodzenie; w trzy lata później młody Dumas, potrzebując (jak sam powiada) pieniędzy, z powieści wykroił sztukę: i tak od niechcenia napisał najlepsze, najtrwalsze swoje dzieło, a zarazem wskazał teatrowi nowe drogi. Cenzura zabroniła wystawienia sztuki; mimo trzechkrotnych przeróbek i złagodzeń, mimo starań i protekcji, wyrok jej był nieubłagany. „Jest to

— brzmi orzeczenie cenzury — obraz, w którym wybór osób i brutalność kolorów przekraczają najdalsze granice tolerancji w teatrze”. Popierał gorąco sztukę książe de Morny, ale nic nie mógł wskórać wobec oporu ministra. Ale Dumas był dzieckiem szczęścia. Minister pada, a w jego miejsce tekę otrzymuje — książe de Morny. Niezwłocznie (1852) *Dama Kameliowa* wchodzi na scenę, aby odnieść jeden z największych tryumfów, jakie teatr pamięta. Zarazem, od tej chwili, legenda pierwowzoru Damy Kameliowej rośnie, pięknieje, a wpół autobiograficzny charakter utworu przydaje jej jeszcze poezji. Na kilka dziesiątków lat *Dama Kameliowa* staje się ową arcy-rolą, o której marzy każda aktorka.

Ale zostawmy poezję poezji. Jeżeli w pierwszych dwóch aktach *Damy Kameliowej* można się dopatrzeć osobistych przeżyć autora, dalsze trzy są czystą fantazją. Fantazją jest, jak wspomniałem, również ów ojcowski „książe de Mauriac”, łożący bezinteresownie na zbytek Marii. Zakulisowa rola jego w sztuce jest bardzo zrozumiała; obecność jego łagodzi to, co w położeniu Małgorzaty Gautier mogłoby się wydać zbyt jednoznaczne, z ujmą dla sympatii widza. Zwłaszcza w ówczesnej epoce, gdzie, jak widzimy z orzeczenia cenzora, pojęcia o tym co można pokazać w teatrze były znacznie surowsze. Dumas jeszcze dalej posuwa się w ustępstwach na rzecz tych pojęć: z kilku szczegółów przytoczonych przez cenzurę, a których dziś w sztuce nie znajdujemy, można się domyślić, że dokonał w niej sporo retuszów, które zapewne później, uznawszy (jak często bywa), że nie wyszły na złe dzieło, ostatecznie zostawił.

Mimo to, sztuka była, jak na owe czasy i pojęcia, niezwykle śmiała. Później stało się z *Damą Kameliową* to, co się stało z wieloma dawnymi utworami, poczynając od wielkiego Rasyna. Znacząca dziś ona, dla powierzchownych sceptyków, sentymentalizm, gdy dla współczesnych znaczyła przede wszystkim brutalność. I znaczyła także prawdę. Znała już scena kurtyzanę odkupioną przez miłość, że tylko wspomnę *Marion Delorme* Wiktora Hugo; ale to działo się tak dawno, ale to było wierszem, ale kochanek Marion nie był świadom jej przeszłości; ale tam nie kręciło się wszystko dokoła pieniędzy! Tu, mimo paliatywów, jakich Dumas użył, ta finansowa podszywka wielkiego uczucia, to trywialne środowisko, do którego Maria należy i do którego wraca, sam wreszcie sposób, jaki w rozpacz znajduje, aby oddalić od siebie Armanda — sposób heroiczny, ale heroizmem prostytutki — wszystko to było czymś niezmiernie śmiałym. I nie było to, jak dziś, krynolinową stylizacją; przeciwnie: życie, najpotoczniejsze życie, wdzierало się na scenę i żądało dla „nierządniczy” w sukni ostatniej mody prawa do wzruszenia i wzniosłości — tego prawa, którego wprzód jedynie w historycznym kostiumie można było dostąpić. Od lokaja Ruy-Blasa zrobił tu teatr jeszcze krok dalej. A także od Scriba i jego szkoły, dla której teatr był jedynie grą zręczności. Z młodzieńczym utworem Dumasa, życie, namiętność wchodzi do teatru i przemawiają do zdumionej, wzruszonej publiczności nieznanym wprzód językiem.

Kogo miał za mistrza w tym rewolucyjnym dziele młody autor, który, czerpiąc w tym, na co patrzył i co przeżył, stał się wpół-bezwiednie pionierem nowej sztuki? Sądzę, iż przede wszystkim tego, który, mimo iż sam zawsze na darmo kusił się o laury sceniczne, swoją *Komedią Ludzką* wywarł potężny wpływ na odrodzenie twórczości dramatycznej: Balzaka. Za podtytuł dramatu Dumasa mógłby służyć tytuł jednej z powieści Balzaka: *Blaski i nędze życia kurtyzany*. Już tam romantyzm kojarzy się z realizmem ujmowania zjawisk: już tam widzimy życiową podszywkę wielkich uczuć, już tam widzimy postać kurtyzany kochającej i poświęcającej się z całą egzaltacją, do jakiej jedynie ta neofitka cnoty jest zdolna: zarazem owo swoiste, a tak głęboko przez Balzaka zrozumiane pomieszanie pojęć, mocą którego kurtyzana drogę poświęcenia widzi jedynie w sferze tych środków, które stanowią zwyczajną sferę myślenia jej klasy. I tam Ester odradza się moralnie dla Lucjana; i tam, przez paradoksalnie wzniosłe poświęcenie, wraca do dawnego błota, i ją także zabija ten powrót. List Estery do Lucjana byłaby zdolna napisać Małgorzata do Armanda.

Ale między powieścią a sceną była olbrzymia różnica. Jeżeli w powieści perspektywy, jakie ukazywał Balzac, były rewolucją, cóż dopiero na scenie! Stąd znaczenie *Damy Kameliowej*. Utwór ten zamyka okres romantyzmu, z którego wziął szeroki oddech i zdolność wzruszenia, a zarazem otwiera okres scenicznego realizmu, który z płaszczów i pióropuszków przebiera bohaterów we fraki i surduty, podniosłym uczuciom daje podszywkę poziomych potrzeb i żąda praw do heroizmu dla codziennego życia. Dramat Dumasa jest

tu niejako pośrednim ogniwem, a temat, który nastroczyło mu życie, bardzo sprzyjał tej odnowie teatru. Świat, w który wprowadził publiczność, był współczesny a egzotyczny zarazem; znajdował się przez swoje warunki niemal na marginesie społeczeństwa. Warunki te, kojarząc w naturalny sposób zbytek z potrzebą, blask z poniżeniem, szczególnie czyniły ten teren sprzyjającym zespoleniu romantyzmu z realizmem. Jakoż, później, mimo iż teatr zdobędzie sobie inne dziedziny, temat ten, po Dumasi, autorzy będą podejmowali często. Potomstwo *Damy Kameliowej* raz po raz będzie się pojawiało na scenie, zrobi się nie do wytrzymania...

Dama Kameliowa to kawał historii polskiego teatru, dlatego godzi się na nią spojrzeć i z tego punktu widzenia. Najulubiejsza sztuka, najbardziej wymarzona rola przez kilka dziesiątków lat. Grywały ją nasze największe aktorki. Grywała ją Modrzejewska, a równocześnie prawie zjeżdżała z nią do Polski Sara Bernhard. Ileż zapisano papieru porównaniami tych dwóch tak odmiennych kreacji! Ale, rozbierając każdy ich szczegół, zapomniano — jak często bywa — o jednym: o tekście; uszło uwagi to, że jeżeli każda z tych dwóch artystek grała inaczej, to po trosze i dlatego, że... każda mówiła przeważnie coś innego.

Dowiedziałem się o tym przypadkowo. Proszony przez Teatr Polski o nowy przekład *Damy Kameliowej*, zapoznałem się z ciekawości z dawnym, nieznanego pióra. Wówczas mogłem stwierdzić te różnice. Cała swoista goryczka tej sztuki była po polsku osłodzona; tytułowa postać usentymentalizowana, chwilami ze znacznym zatarciem linii dramatu.

Przyczyna tego dość jest zrozumiała. Ewolucja stylów literackich była odmienna u nas niż we Francji. Gdy tam *Dama Kameliowa* znaczyła świt realizmu, my dopiero przeżywaliliśmy romantyzm. Toż samo różnice obyczajowe. Jeżeli tam i temat, i jego ujęcie wydawały się cenzurze zbyt ostre, o ileż bardziej były one ostre u nas! Może przyczyniła się tu i opera Verdiego, i styl jej libretta, dość że wszystko to, w połączeniu z ówczesnymi szerokimi pojęciami o swobodach tłumacza, stworzyło ową polską „Damę Kameliową”, bardzo odbiegającą od francuskiej.

Cechą stylu Dumasa jest wielka oszczędność wyrazu, bardzo trzeźwe i świadome jego dawkowanie. W polskim tekście przeciwnie. Oto próbka ze słynnego monologu Małgorzaty w II akcie. Polski dawny przekład:

„Armandzie, po co ty się zjawiłeś na mej drodze? byłam spokojną, swobodną od walk wewnętrznych, nim cię poznałam — a teraz, Boże! A jednak w tej walce obawy z nadzieją, przejmuję mnie jakieś ożywcze uczucie, słyszę jakby głos potajemny, obiecujący mi szczęście, którego dotąd nie znałam. Kocham i jestem kochana, w tych kilku słowach mieści się tyle rozkoszy, że mogą zapłacić za całą wieczność trosk i bólów!”

Gdy u Dumasa znacznie skromniej:

„Czy on mnie kocha zresztą? A ja czy go kocham, ja, która nigdy nie kochałam? Ale po co wyrzekać się chwili rozkoszy? czemu nie iść za kaprysem serca? Czym ja jestem? Igraszką losu! Pozwólmyż tedy losowi robić ze mną co mu się podoba. — Bądź co bądź, mam uczucie, że jestem szczęśliwsza niż kiedykolwiek. To może zła wróżba. My, kobiety, przewidujemy zawsze, że ktoś nas pokocha, nigdy, że my pokochamy, tak że za pierwszym atakiem tej nieprzewidzianej choroby, nie wiemy same, co się z nami dzieje”.

Co za różnica, prawda? I nie tylko w stylu, ale w treści, w linii psychologicznej. U Dumasa to dopiero początek kaprysu, obawa miłości, trzeźwa analiza samej siebie u kobiety, której życie nie należy do niej; u polskiego tłumacza to fala romantycznej frazeologii.

W ten sposób ciągle: „Ten człowiek mnie zabija”, zamiast „ten chłopak wpędzi mnie w nieszczęście”; każde „kocham cię” wzmacnia polski tekst dodatkiem „z całej duszy”, — „całą siłą mej duszy”, „jesteś aniołem” etc.

Gdy u Dumasa Małgorzata mówi z prostotą:

„Po trzech, czterech miesiącach, wrócilibyśmy do Paryża, uściskilibyśmy sobie dłonie i skleili przyjaźń z resztek naszej miłości...”

W dawnym polskim przekładzie:

„Będę się starała pozyskać jego przyjaźń, zasłużyć na jego *szacunek*, a za powrotem do Paryża Armand będzie mi jedynym przyjacielem, *opiekunem, bratem...*”

Gdy u Dumasa Małgorzata maluje znowuż z prostotą swoją sytuację i swój stan duszy:

„Czemu? Chcesz wiedzieć? Bo są godziny, w których ten rozpoczęty sen snuje do końca; bo są dni, w których jestem zmęczona życiem, jakie wiodę, i roję sobie inne: bo w naszej burzliwej egzystencji nasza głowa, nasza duma, nasze zmysły żyją, ale serce wzbiera i, nie mogąc znaleźć upustu, dławi nas. W istocie, mamy kochanków, którzy się rujnują, nie dla nas — jak w nas wmawiają — ale dla swojej próżności; jesteśmy pierwsze w ich miłości własnej, ostatnie w ich szacunku. Mamy przyjaciół, przyjaciółki jak Prudencja, których przyjaźń bywa czasem służalcza, nigdy bezinteresowna. Mało je obchodzi, co się z nami dzieje, byle by je widziano w naszych łóżach, byle się mogły rozpierać w naszych powozach. Tak więc, dokoła nas, sama ruina, wstyd i kłamstwo. Marzyłam tedy chwilami — nie śmiejąc tego wyznać nikomu — o tym by spotkać człowieka dość wyzwolonego z małostek, który by mnie nie pytał o nic i zechciał być kochankiem mego kaprysu...”

Bilans jej życia, pozycja, jaką w nim w tej chwili przeznacza Armandowi, wszystko to wyrażone jest tu bardzo jasno. W coż się to zmieniło w dawnym polskim tekście:

„Słuchaj! każde serce miewa swoje chwile zwątpienia, tak jest i z moim. W takich chwilach widzę życie moje zupełnie innym od tego, które prowadzę. Zdaje mi się, że jeżeli w moim położeniu potrafiłam wzbudzić pewien rodzaj podziwu i uznania w tym świecie, który się koło mnie kręci, to mogłabym zasłużyć na szacunek w *kółku ścisłym* kochających mnie i *życzliwych osób*. Zapytuję sama siebie, czy może mnie czekać inna, lepsza przyszłość — lecz nagle całe przeszłe moje życie staje mi przed oczy i wszelkie nadzieje rozpryskują się. Wracam do mego szalonego życia. Dzień następuje po dniu, czas wlecze się jednostajnie, mam wielbicieli, kochanków, *jeżeli ich chcesz tak nazywać...* Marzyłam, że znajdę...” etc.

Tam gdzie Małgorzata, depcząc okrutnie własną dumę, mówi do Armanda:

„Przychodzisz tu od czterech dni, byłeś u mnie na kolacji, przyślij mi jaki klejnot z biletem wizytowym...”

tam dawny tłumacz zmienia klejnot na „bukiet”, odbierając całą gorycz, ale i cały sens tym słowom.

Przekształcenie to szło jeszcze dalej, wchodziło w akcję. Jednym z najznamienniejszych rysów Dumasa jest owo ścisłe robienie bilansu, owa realistyczna podszewka uczuć. Pragnąc przeżyć z Armandem paromiesięczną idyllę, Małgorzata musi na ten cel naciągnąć innego na pieniądze, zapewne nie bez rewanzu... Posyła po hrabiego de Giray i prosi go o pieniądze na zapłacenie rachunków. Scena ta ma istotnie bardzo ostrą wymowę, za ostrą prawdopodobnie dla ówczesnego polskiego teatru. Zmieniono ją w dawnym przekładzie zupełnie. To hrabia pyta Małgorzatę o jej długi i narzuca się prawie z ich zaplaceniem. Oczywiście cała scena, tak ważna dla charakterystyki, traci swój sens.

Nie będę mnożył przykładów. Wspomnę tylko ową sławną scenę Małgorzaty z ojcem Armanda, dość już patetyczną samą przez się. Trudno wyliczać wszystkie dodatki, jakimi ją po polsku upstrzono. Wzruszająca prostota Małgorzaty (...kiedy już umrę i kiedy Armand będzie przeklinał moją pamięć...) rozwodniła się obficie:

„O jedną łaskę błagam cię, panie. Kiedy to serce, które dzisiaj pęka z żalu, będzie spoczywało spokojnie w grobie, kiedy świat będzie obrażał pamięć moją obelgami, a sam Armand powstanie, aby przeklinać imię moje, wtedy...” etc.

Ciągle amplifikacja, ciągle dodatki przy nieodzownych równoczesnych skrótach, powodują istotną „przemianę materii” i nadają tej transkrypcji zupełnie inny ton. Gdy u Dumasa sytuacje wciąż stawiane są jasno, ostro, w polskim tekście zacierały się we frazeologii. To inny utwór, z innej epoki literackiej, w innym stylu. Oto może spóźniony przyczynek do różnic w kreacjach Modrzejewskiej i Sary. Oto zarazem przyczyna, że ci, którzy za młodu oglądali w Polsce *Damę Kameliową*, wspominają ją z sentymentem, ale zarazem i z pobłażliwym uśmiechem. Polski dawny tekst to główne źródło naszych tradycji *Damy Kameliowej* na słodko.

*

Czytelnik znajdzie tu, po raz pierwszy w polskim języku, charakterystyczną przedmowę autora do *Damy Kameliowej*, pisaną w kilkanaście lat później, w r. 1867. Młody Dumas zrobił tymczasem kawał drogi; stał się najbardziej wziętym komediopisarzem, autorem *Półświatka*, *Przyjaciela kobiet*, *Pojęć pani Aubray*. W sztukach tych — tej ostatniej zwłaszcza — Dumas staje się czymś w rodzaju filozofa, apostoła, ale dość dziwna to filozofia i dość dziwne apostołstwo: niby to śmiała, ale w gruncie rzeczy jakże mieszczańskie, ilomaż spętane przesądami! Odbija się to i w tej przedmowie do *Damy Kameliowej*: do sztuki urodzonej z młodzieńczych wspomnień i młodzieńczego uczucia, autor przydaje całą ideologię, staje się lekarzem chorób społecznych, czujnym wzrokiem przenika przyszłość Francji, przepowiada jej straszliwe klęski grożące jej za lat pięćdziesiąt! Dziś, kiedy upłynęło od tej przedmowy lat więcej niż pięćdziesiąt, z uśmiechem czytamy te proctwa: inne ma dziś świat troski niż kłopotać się o pochodzenie posagów panieńskich i renty kawalerów do wzięcia!

Jedno zostało w tej przedmowie żywe, to akcent szczerego wzruszenia, gdy mówi o niedoli uwiedzionych dziewcząt, o losie kobiety, o nieślubnych dzieciach. Dumas był — jak wspomnieliśmy — naturalnym synem, co w owym czasie piętnowało człowieka na całe życie; trzeba było całego jego talentu i sławy dwóch pokoleń, aby złagodzić tę hańbę! Co więcej, ojciec jego, autor *Montchrista* i *Trzech Muszkieterów*, był prawdziwym ojcem marnotrawnym, niewiele troszczył się o matkę swego syna. Opuścił ją, gdy miała małe dziecko; sam lekkomyślny, niesiony falą swej niespokojnej kariery, zbyt rzadko przypominał sobie o niej. Młody Aleksander patrzył na smutną dolę matki, która go wychowała, patrzył na jej wyrzeczenia, na jej dzielność, na jej oddanie. Miał dla niej prawdziwy kult. Często, po premierze swojej sztuki, zapraszany na najświetniejsze uczyty, odrzucał wszystkie zaproszenia, aby w skromnym pokoiku podzielić z matką jej wieczrę. Przez wzgląd na szczerść tych akcentów, przez wzgląd także na dowcipną i pełną werwy — a wciąż jeszcze aktualną — diatrybę przeciw cenzurze, przebaczymy mu to, co w jego filozofii społecznej trąci starym żurnalem mód...

Boy.

Warszawa, w marcu 1930.

Z POWODU DAMY KAMELIOWEJ

Osoba, która posłużyła mi za model do bohaterki powieści i dramatu o *Damie Kameliowej*, nazywała się Alfonsyna Plessis, przekształciła to na szlachetniej brzmiące i dystyngowane nazwisko *Maria Duplessis*. Była to wysoka, smukła brunetka, biała i różowa. Głowę miała małą, oczy podłużne, emaliowane niby u Japonki, ale żywe i inteligentne; wargi wiśniowe, prześliczne zęby — rzekłbyś figuryńka z saskiej porcelany. W r. 1844, kiedy ją ujrzałem po raz pierwszy, była w rozkwicie powodzenia i piękności. Umarła w r. 1847, na chorobę piersiową, mając lat dwadzieścia trzy.

Była to jedna z ostatnich i nielicznych kurtyzan, które miały serce. Dlatego pewnie umarła tak młodo. Nie zbywało jej ani dowcipu, ani bezinteresowności. Umarła biedna, w zbyt kownym apartamencie, zajętym przez wierzyteli. Miała wrodzoną dystynkcję, ubierała się ze smakiem, chód miała zręczny, niemal szlachetny. Brano ją czasami za kobietę z towarzystwa. Dzisiaj, myłono by się ustawicznie. Była za młodu dziewczyną folwarczną. Teofil Gautier poświęcił jej kilka słów żałobnego wspomnienia; poprzez nie widać było rozpyłającą się w błękicie miłą duszyczkę, która miała — jak parę innych osób — unieśmiertliwić grzech miłości.

Maria Duplessis nie miała wprawdzie wszystkich owych wzruszających przygód, których użył dla Małgorzacie Gautier, ale byłaby gotowa je mieć. Jeżeli nic nie poświęciła dla Armanda, to dlatego, że Armand tego nie chciał. Mogła, z wielkim swoim żalem, odegrać jedynie pierwsze dwa akty sztuki. Rozpoczęła je ciągle, jak Penelopa swoje płótno, z tą różnicą, że prula w dzień to, co zaczęła w nocy. Nigdy też za życia nie nazywano jej Damą Kameliową. Przydomek, jaki dałem Małgorzacie, jest czystym wymysłem. Ale wrócił do Marii Duplessis przez odbicie, skoro ukazała się powieść, w rok po jej śmierci. Gdy, na cmentarzu Montmartre, zażądacie pokazania grobu Damy Kameliowej, dozorca zaprowadzi was do małego kwadratowego pomniczka, na którym pod tymi słowami: *Alfonsyna Plessis*, spoczywa wieniec sztucznych białych kamelii, przymocowany do marmuru w szklanej gablotce. Ten grób ma teraz swoją legendę. Sztuka ma coś boskiego; stwarza lub wskrzesza.

Dramat ten, napisany w roku 1849, przedstawiłem zrazu Teatrowi Historycznemu, gdzie go przyjęto. Ale, przed wystawieniem sztuki, teatr upadł. Dzięki instancjom aktora tego teatru, pana Hipolita Worm, obecnego przy pierwszym czytaniu, dostała się *Dama Kameliowa* do *Vaudeville*. Przyjął ją p. Bouffé który, wraz z pp. Lecourt i Cardaillac, objął dyrekcję tej sceny. Tam, dzięki panu de Morny, sztuka ujrzała wreszcie światło rampy dnia 2 lutego 1852.

Przez rok sztuka była zabroniona przez cenzurę za ministerium p. Leona Faucher. P. Bouffé znał pana Ferdynanda de Montguyon. Pan Ferdynand de Montguyon był przyjacielem pana de Morny, pan de Morny był przyjacielem księcia Ludwika Napoleona, książę Ludwik był prezydentem Republiki, p. Leon Faucher był ministrem spraw wewnętrznych, był więc może sposób, przebiegając szczeble tej drabinki stosunków, osiągnąć cofnięcie zakazu.

„Stosunki” zaczęły się ruszać. Nic nie jest łatwe we Francji. Zastanawiałem się, dokąd jada ci wszyscy ludzie, których spotyka się na ulicy pieszo lub w powozie. Idą prosić kogoś o coś. Pan de Montguyon udał się do pana de Morny, przedstawił mu nasze położenie, a pan de Morny, w towarzystwie pana de Montguyon, zechciał być obecnym na próbie sztuki, aby sobie zdać sprawę z wartości dzieła, nim wspomni o nim księciu. Nie wydało mu się tak niebezpieczne, jak opowiadano. Mimo to, poradził mi, abym udzielił mego rękopisu paru kolegom; ci niech wystosują prośbę na poparcie jego protekcji, iżby minister mógł ustąpić nie tylko wpływowi towarzyskiemu, ale także życzeniu kompetentnych pisarzy. Rada była dobra i godna. Poszedłem do Juliusza Janin, który napisał śliczną przedmowę do drugiego wydania powieści, do Leona Gozlan i Emila Augier, który właśnie uzyskał za swoją *Gabrielę* nagrodę Cnoty w Akademii. Wszyscy trzej przeczytali sztukę i wszyscy trzej wystawili mi świadectwo moralności, które wręczyłem panu de Morny, który zaniósł wszystko księciu, który posłał to panu Leonowi Faucher, który odmówił wręcz i bez apelacji.

Szczerze mówiąc, można było przypuszczać i zdawałoby się zupełnie proste i naturalne, że w wielkim kraju jak Francja, której dowcip i której literatura zasila dwa światy, gdy ów wielki kraj posiada pisarza popularnego, europejskiego, światowego i ten pisarz ma młodego syna, wstępującego w szranki, można by przypuszczać, powiadam, i zdawałoby się całkiem naturalne, że przy pierwszych trudnościach cenzury, wystarczy temu ojcu się pokazać, aby rząd powiedział z ukłonem: „Jak to, panie Dumas! ależ szczęśliwi jesteście, że możemy coś zrobić dla człowieka takiego jak pan, który jesteś chlubą naszej epoki. Życzy pan sobie, aby sztuka pańskiego syna była wystawiona, uważa ją pan za dobrą, zna się pan na tym lepiej od nas, prosimy: oto sztuka pańskiego syna”. Ty, mój czytelniku, postąpiłbyś tak; i ja także. Otóż nie; rzeczy nie dzieją się w taki sposób. Trzeba najpierw, aby syn tego znakomitego człowieka przebył szczeble, które przedstawiłem, i kiedy, po tych daremnych usiłowaniach, zwróci się wreszcie do ojca i ten poprosi o audiencję u pana Leona Faucher, p. Leon Faucher nie przyjmie go i odeśle do szefa gabinetu. Szef gabinetu, zupełnie przyzwoity człowiek zresztą, przyjmuje bardzo dobrze ojca i syna, ale powiada im, że rzecz jest niemożliwa dopóki p. Faucher będzie ministrem, gdyż dobrze jest upokorzyć od czasu do czasu znakomitego człowieka i przypomnieć mu, że stoi poniżej szefów sekcji, prefektów i ministra. Otóż właśnie dwadzieścia lat wprzód może, w tym samym biurze, p. de Lourdoueix dał taką samą odpowiedź p. Aleksandrowi Dumas z przyczyny podobnej prośby. Tylko, że w r. 1829 chodziło o Krystynę, zakazaną przez cenzurę Restauracji, tak

jak *Damę Kameliową* proskrybowała w r. 1849 cenzura Republiki: inny rząd, inny minister, ale rzecz wciąż ta sama. Zaczem, jako że przeszłość zawsze zda się na coś, odszedłem, powiadając, jak powiedział mój ojciec: „Zaczekam”.

Czekałem tym cierpliwiej, ile że pan de Morny powiedział mi, abym nie tracił wszelkiej nadziei, dodając: „Nie wiadomo co się może zdarzyć”; i że pani Doche, która tyleż pragnęła grać swoją rolę, co ja pragnąłem widzieć na scenie moją sztukę, powiedziała mi w zaufaniu, że p. de Persigny działa na swoją rękę.

I w istocie, p. de Persigny — na prośbę pani Doche — oświadczył się jako współprotektor biednej *Damy Kameliowej*.

Nadszedł 2 grudnia. Pan de Morny zajął miejsce pana Faucher. Ci, którzy mnie znają, wiedzą, że nie jestem bardzo złośliwy; ale ujrzeć naraz, w miejsce ministra, który nam zawadza, ministra, który idzie nam na rękę, to się nazywa mieć szczęście, zwłaszcza jeżeli nic się nie zrobiło w tym celu. Nie uważałem tedy za potrzebne ronić łez nad losem pana Faucher; muszę nawet wyznać, że byłem tak szczęśliwy z jego nieszczęścia, jak można było być w danym wypadku. W trzy dni po swojej nominacji, p. de Morny pozwolił grać moją sztukę, jedynie na moją odpowiedzialność; jemu tedy zawdzięczam początek kariery, bo z pewnością, gdyby nie on, pierwsza ta moja sztuka nigdy nie dostałaby się na scenę. To byłoby tylko nieszczęście osobiste, ale właśnie tych nieszczęść stara się człowiek unikać. Nie ma już pana de Morny, aby jeszcze raz usłyszał wyraz mej wdzięczności; składam go więc jego pamięci, zamiast go złożyć jemu samemu, śmierć człowieka, który oddał przysługę, nie umarza długu tego, który jej doznał.

Po wielkim sukcesie, sztukę przerwano w lecie. Tymczasem pan de Morny opuścił ministerium. Kiedy w październiku teatr chciał wznowić sztukę, znów jej zabronił nowy minister, którym był — uśmieciecie się — dawny jej poplecznik, pan de Persigny. Wówczas, pan de Morny wyruszył do ministerium jak za czasu pana Leona Faucher, już nie jak człowiek który prosi o łaskę, ale jak człowiek, który domaga się praw, i sztukę przywrócono ostatecznie.

Habent sicut libellii sua fata comoediae.

Tu byłoby najwłaściwsze miejsce, aby, po raz tysięczny, napaść na cenzurę. Niech mnie Bóg strzeże od tego! co najmniej dla trzech przyczyn. Pierwsza, to że przyrzekłem sobie i wam także, że w mojej przedmowie będę, o ile tylko możliwe, unikał uroczystego tonu i pewnych wielkich słów zbyt ciężkich dla mnie. Druga, to że ta tyrada jest zbyt ciężka, bo w czasach tak pośpiesznych, jak nasze, trzeba mówić tylko to, co może zdać się na coś. Trzecia, to że nigdy cenzura nie mogła powstrzymać ani zniekształcić tego dzieła, od *Tartufa* do *Wesela Figara*, od *Wesela Figara* do *Marion Delorme*, od *Marion Delorme* do *Syna Giboyera*. Dzieło zawsze przeszło górą, dołem, albo wprost. Rządy wyobrażają sobie, że jeszcze potrzebują tej antycznej instytucji, myślą, że są bezpieczne za tą drewnianą palisadą, która ich kosztuje jakie pięćdziesiąt tysięcy franków rocznie i daje życie kilku osobom, spełniającym najprzyzwoiciej w świecie tę trudną i nudną czynność. Szanujmy tę niewinną manię. Ogrodnicy wieszają w sadzie parę łachów, aby odstraszyć wróble; to tradycja, która ich uspokaja. Wróble, które wiedzą, że to są tylko łachy, siadają na drzewach i zjadają owoce. Wszyscy są zadowoleni i zawsze znajdzie się na gościńcu jakiś przechodzień, który śmieje się z ogrodnika. Oto najważniejsze! śmiech, to taka dobra rzecz! Bierzmy tedy na serio tylko to, co jest poważne, a cenzura nie jest poważna.

Jest ona nawet dla nas pierwszorzędną współpracowniczką. Przykład: Chcemy wprowadzić na scenę — co jest naszym prawem i naszym obowiązkiem od czasu, jak komedia istnieje — chcemy tedy wprowadzić na scenę jakiegoś awanturnika tej czy innej płci, utytułowanego łajdaka lub dystygowaną hultajkę. Co czyni cenzura? „To niemożliwe, woła, krzycząc bardzo głośno, powiedzą, że to pan X albo pani Z”. I wymienia dwie znakomite osobistości. Rzecz nabiera rozgłosu. Autor protestuje. Dzienniki robią aluzje. Publiczność zaczyna się interesować, bierze udział. Czy nie wydaje się to wam zabawne: rząd, opłacający kilka osób, aby nas informować, nas, autorów dramatycznych, o przekupstwach, nadużyciach, sekretach i skazach wysokich klas; aby nam dostarczyć tematu do przyszłych sztuk o najdosłowniej współczesnych! Czy to nie jest pierwszorzędny komizm? Wreszcie, sztukę zwracają, dzięki paru zmianom, *zawsze nieznaczącym, czasami*

pożytecznym. Tłum ciśnie się. Kasa w obłężeniu: — wszyscy chcą widzieć sportretowanych łajdaków, którzy istnieją najczęściej jedynie w wyobraźni zbyt gorliwych cenzorów. Młodzież, która jest zawsze za ruchem, hałasem i postępem, oświadcza się za wami, wasze stronnictwo oklaskuje was co wlezie, kariera zrobiona! I wy chcecie śmierci tej przyjaciółki? Ktoś strzela do was, strzelba pęka, bo jest licha i urywa nos temu, który do was mierzył: i wy nie pękacie ze śmiechu? Cóż się stało z tęgą francuską wesołością Rabelego, Lesage'a, Woltera; czym ją karmicie, jeśli nie głupotą wielkich? Nie, nie, nie; szanujmy cenzurę; trzymajmy ją w wacie, to udany wróg. Jeżeli komu szkodzi, to nie nam. Gdyby nie istniała, trzeba by ją wymyślić. Mamy prawo krzyknąć przeciwko niej, rzecz doskonała dla płuc francuskich potrzebujących tego ćwiczenia, ale w gruncie ona lepiej wspomaga nasze interesy, niżbyśmy mogli to uczynić sami. Ona nas ubezpiecza. Skoro raz da swoje placet, które daje w końcu zawsze, co za bezpieczeństwo. Jak spokojnie możemy wówczas spać! Cenzura puściła sztukę, zatem sztuka nie jest niebezpieczna; a jeżeli rząd coś powie, powiadamy: „To nie nasza rzecz. Czepiajcie się swojej cenzury, która jest po to, aby przewidywać”.

Ale nieujęte prawo myśli! Ale niepodległość ludzkiego ducha! Ale godność geniusza zmuszona się ugiąć przed miernotą i rutyną! Spytajcie, co ja o tym myślę, czy ja to liczę za nic? Jak to! Od piętnastu lat wspaniały repertuar Wiktora Hugo jest na indeksie? *Lukrecja*, najlepsze dzieło Ponsarda, nie może ukazać się w teatrze! *Kawaler de Maison-Rouge* pańskiego ojca skazany jest na milczenie. Legouvé zmuszony był wydrukować *Dwie królowe*, a Barrière *Biada zwyciężonym!* Widzi pan, że cenzura może coś zabić. Dlatego, że wszystkie pańskie sztuki w końcu wystawiono dzięki pańskim stosunkom lub pańskiej ustępliwości, uważa pan, że wszystko jest cudownie; ale inni, którzy nie mają ani takich pleców, ani nie są tacy giętki, inni, którzy patrzą, jak ta despotyczna instytucja niszczy ich karierę, ich los, ich sławę; inni, drogi panie, którzy szanują swoje dzieło, swoją misję i niezłomność swego sumienia, inni wreszcie...”

Ba! czegoż to dowodzi? Tego, że rządy, wybrańcy ludu lub wybrańcy Boga — mniejsza skąd biorą swoje oparcie — krzycząc głośno o swej sile, o swej zażyłości z narodem, o swym zaufaniu do niego, boją się nas, że drżą przed lada słówkiem, że wierzą, iż możemy je obalić lub zachwiać w ciągu jednego wieczora; słowem, że uznają potęgę wyższą od ich potęgi, potęgę myśli pierwszego z brzegu, który nie ma ani prawa boskiego, ani wyborców, ani prefektów, ani listy cywilnej, ani policji, ani armat na swoje usługi. To nas kosztuje parę tysięcy franków, które odbijamy stokrotnie pod rządem, który następuje potem, bo zawsze jest rząd, który następuje potem i który zmuszony jest przez jakiś czas robić przeciwieństwo niż jego poprzednik. Błogosławmy owych potentatów, którzy lękają się fikcji, tyrady lub konceptu, którzy nam stwarzają tak wielką potęgę w państwie, w obliczu świata i którzy nie widzą jeszcze po tylu doświadczeniach, że my nie możemy nic przeciw nim, jak oni nie mogą nic przeciw nam, że aluzja jest zawsze tylko *zsumowaniem* i że, jeżeli wszyscy rozumieją i chwytają aluzję w naszym dramacie lub komedii, to dlatego, że od dawna ta aluzja jest w głowie i na ustach publiczności. To nie my mamy wówczas opinię za sobą, ale oni mają opinię przeciw sobie. Słowem, nie dlatego dawny system runął, że Beaumarchais napisał *Wesele Figara*, ale, dlatego że dawny system rozpadł się w gruzy w oczach i rozumieniu wszystkich. Beaumarchais napisał *Wesele Figara* i zbudował arcydzieło na ruinach. Rządy można obalić jedynie wówczas, gdy nie mają już podstaw. Kiedy, potrząsając drzewem, strącamy zeń owoce, to nie dlatego że jesteśmy silni, ale że owoce już dojrzały.

Krzykcie przeciw cenzurze, ale prosicie Boga, aby ją wam zostawił. Najgorszy figiel, jaki można by wam wypłatać, to skasować ją. Nazajutrz (i to byłoby upokarzające!) znaleźlibyście się pod władzą policji. Teatry podlegałyby tym samym prawom, co inne miejsca publiczne: przy pierwszym skandalu, zamknięto by sklep i skonfiskowano towar. Przeszlibyście z rąk życzliwego urzędnika w ręce brutalnych szpiclów; w dniu, w którym rząd potrzebowałby skandalu w teatrze, posłałby na twoją sztukę pięćdziesięciu tych jegomościów przebranych po cywilnemu, aby wywołali skandal, i zsadzono by cię z koźła jak pijanego woźnicę. „Ale przynajmniej wypowiedziałbym raz swoją myśl”. Nie, bo dyrektorzy, wciąż pod groźbą tego środka bezpieczeństwa, zrobiliby się sami cenzorami. Znalazłbyś, w ich interesach materialnych, o wiele sroższych przeciwników niż w rutynie urzędowej i rychło by wyprawili na spacer was i wasze idee, gdybyście się okazali zbyt

uparci. Dopiero byście żalowali starej, poczciwej cenzury z okularami bez szkieł i tępy-
mi nożycami; cenzury, o której opowiada się anegdota wieczorem przy kominku, owej
sennej ochmistrzyni, której Muza tak łatwo wykrada klucze, kiedy chce uciec w pole.

Czego by trzeba, czego wy byście chcieli, czego ja bym chciał, co by było prostsze,
godniejsze i szacowniejsze dla wszystkich, to wolność zupełna, lojalna, bez zastrzeżeń
i podrywki, która by zostawiła widzowi — wywiązałby się z tego doskonale — pra-
wo cenzurowania samemu i która by nie wprowadzała osoby trzeciej między producenta
a konsumenta myśli. Na nieszczęście, to jest utopia.

„No a co, a w Anglii, gdzie słowo cenzura nawet nie istnieje?”

Anglik! to prawda! co za naród! co za wolność! Od piętnastu lat Francja, kraj skażony
cenzurą, pozwolił wystawić *Damę Kameliową*, a spróbujcie zagrać tę sztukę w Londynie!
Zabroniona jest tam od tego samego czasu. Przez kogo? Nie wiadomo. Kiedy cenzury
nie wykonywa ktoś, wykonywają ją wszyscy. Słowa! słowa! słowa! jak powiada *Hamlet*,
urodzony, jak wszystkie arcydzieła, pod rządem despotycznym. Czy wiecie, co jest trud-
ne, bez względu na formę rządu? Nie jest trudne wystawić dobrą sztukę, ale napisać ją.
Zaczniemy od tego. Arcydzieło napisane ma czas czekać¹.

W pierwszym upojeniu powodzenia i wdzięczności, napisałem na czele pierwsze-
go wydania *Damy Kameliowej* następujące słowa, które przedrukowuję z przyjemnością
w chwili, gdy pani Doche objęła rolę Małgorzaty z tym samym talentem co wprzód:

„Pani Doche wcieliła rolę w taki sposób, że nazwisko jej na zawsze jest związane
z tytułem sztuki. Trzeba było całej jej dystynkcji, jej wdzięku, jej fantazji, aby narzucić
publiczności trudny i szczerzy typ Małgorzaty Gautier. Na sam widok aktorki widz gotów
był wszystko przebaczyć bohaterce. Nie sądzę, aby inna osoba, w jakimkolwiek teatrze
i z jakkolwiek sumą talentu, mogła jak ona zjednoczyć wszystkie sympatie dokoła tej
nowej kreacji. Wytworna i subtelna wesołość, wykwinna swoboda, melancholijna tkli-
wość, oddanie, namiętność, rezygnacja, ból, ekstaza, pogoda, wstydlivość wobec śmierci,
niczego nie brakło, nie licząc młodości, urody, temperamentu, które miały dopełnić ro-
lę, a które są jej nieodzownym ciałem i kształtem. Nie potrzeba jej było ani jednej rady,
ani jednej uwagi; do tego stopnia, że, grając tę rolę, robiła wrażenie, że sama ją napisała.
Podobna artystka nie jest wykonawcą, ale współpracownikiem”.

*

A teraz, miałem czy nie miałem moralne prawo wydobyć i pokazać na scenie tę kla-
sę kobiet? Oczywiście że tak; miałem prawo. Wszystkie klasy społeczeństwa należą do
teatru; zwłaszcza te, które w krytycznych epokach wynurzają się nagle i wyciskają na
społeczeństwie wyjątkowe piętno. Między tymi trzeba nieodzownie pomieścić *kobiety na
utrzymaniu*, które mają na współczesne obyczaje wpływ niewątpliwy.

Gdyby Molier żył dzisiaj, zaledwie ten nowy światek rozpocząłby swoje ewolucje,
niechybnie zatrzymałby go na chwilę w locie, przejrzałby go i powiedziałby publiczności:
„Strzeżcie się! oto nowe zjawisko; oto poważne niebezpieczeństwo!”

Jednakże, nie byłby naznaczył winnej żelazem, którego użył na Tartufa. Tartufe to
zło dobrowolne, to inteligencja, to wykształcenie, szacunek rzeczy świętych, dobra wiara
ludzka, sam Bóg wreszcie, oddane w służbę kłamstwa, pożądliwości i rozpusty. Zło stwo-
rzone przez kurtyzanę, równie groźne na swój sposób jak to, które może zdziałać Tartufe,
jest wszelako bez zamysłu, a zwłaszcza bez obłudy. Rozkłada się w pełnym świetle, otwiera
sklep, wiesz szylid przed swoim domem, przybija numer. Trzeba być wielkim głupcem,
aby mu się dać oszukać, albo bardzo zepsutym, aby sobie w nim podobać. Ale to zło
ma wymówkę w nędzy, w głodzie, w braku wykształcenia, w złych przykładach, w nie-
ubłaganej dziedziczności zła, w egoizmie społeczeństwa, w nadmiarze cywilizacji, w tym
wiekuistym argumencie wreszcie: — miłości. Występna wola raczej pociechy i oparcia

¹*Arcydzieło napisane ma czas czekać* — w chwili, gdy drukuję te słowa, dowiaduję się, że *Ruy Blas* jest na nowo
i ostatecznie zabroniony we Francji. Jest to błąd, na którym autor zyska później i którego rząd będzie żałował
niebawem. Ale przynajmniej rząd francuski mniema, że ma dobre argumenty, aby wytłumaczyć politycznie
swoje obostrzenia. Jakże racje mógłby dać rząd angielski, który godzi się wystawić *Ruy Blasa* w Londynie
jedynie pod warunkiem, że Ruy Blas będzie marszałkiem dworu zamiast lokajem i że królowa będzie wdową
zamiast zamężną (sic!)? To bardzo pochlebne dla królowej angielskiej, która jest wdową! [przypis autorski]

niż kary i hańby. Zbrodnia jej jest naszą zbrodnią; nie możemy być dobrymi sędziami tam, gdzie byliśmy tak złymi doradcami. Molier wstrzymałby tedy rękę w chwili, gdy miałby ugodzić; cudowny jego rozsądek powiedziałby mu: „Uważaj! zbrodnia tej kobiety nie jest tak wielka, jak się wydaje. Gdy chcesz prawdziwie winnej, obróć się i popatrz na tę drugą!”. I moralista ujrzałby pogodną istotę, która, nie mając usprawiedliwienia w nędzy, ani w złym przykładzie, ani w niewiedzy, depce, spokojnie i bezkarnie, małżeństwo, rodzinę, wstyd, jedynie na rzecz swojej przyjemności. Ta jest naprawdę zbrodniarką; ta jest naprawdę występna; ta wreszcie zasługuje na gniew poety i oburzenie widza, a wszakże tej jest się skłonny przebaczyć pod pozorem, że uległa miłości, uczuciu, naturze; że się oddała wreszcie, ale nie sprzedała.

Sprzedala! oto przyczyna wiekiustych oburzeń.

Wypowiedzmy się wreszcie raz w przedmiocie tego haniebnego handlu miłością. Możemy tutaj porozumować, prawda? Wiemy mniej więcej wszyscy, co sądzić o życiu (bo myślę, że tak samo nie daliście tej książki swoim córkom, jak nie zaprowadziliście ich na moje sztuki); możemy tedy mówić swobodnie, zwłaszcza szczerze. Skorzystam z tego, aby wam powiedzieć to, czego nikt wam nie mówi, może dlatego, że wszyscy to myślą i że wstydziłiby się obnażać publicznie swoje tajemne hańby. O wiele wygodniej jest zlać je, niby do ścieku, na specjalną klasę i paradować dumnie na chodniku, który go kryje.

Dziewczyna bez wychowania, bez rodziny, bez rzemiosła, bez chleba, mająca za całe mienie jedynie swą młodość, swoje serce i swoją urodę, sprzedaje wszystko mężczyźnie dość głupiemu, aby pójść na ten targ. Dziewczyna ta podpisała swoją hańbę; społeczeństwo wyklucza ją na zawsze.

Panna dobrze wychowana, z przyzwoitej rodziny, mająca mniej więcej z czego żyć, sprytna i szchwana, wychodzi za mąż za człowieka, który mógłby być jej ojcem, jej dziadkiem nawet, którego nie kocha. Rozumie się, że ten człowiek jest niezmiernie bogaty. Wyprawia mu pogrzeb do miesiąca (świeże przykłady). Dziewczyna zrobiła dobrą partię i społeczeństwo przyjmuje ją z otwartymi ramionami, i jako żonę, i jako wdowę.

Mężczyzna — to znaczy istota silna, stworzona, aby opiekować się, wspomagać, pracować — z wielkiej rodziny, ale biedny, zamiast obrać sobie zawód, który dałby mu uczciwy kawałek chleba, sprzedaje swoje nazwisko, tytuł i herb za pannę lub raczej za majątek jakiegoś szynkarza z bogatego na sprzedaży i fałszowaniu trunków! Szlachcic ten zrobił dobry interes i nikt nie ma mu nic do zarzucenia.

Sumiennie biorąc, te trzy osobistości warte są siebie, i nie widzę, skąd dwie ostatnie wzięłyby prawo pogardzenia pierwszą.

A teraz przypuśćcie, że owa uboga dziewczyna, zamiast się sprzedać, oparła się pokusom; że pozostała uczciwa, pracowała w magazynie i zadowolila się trzydziestoma su dziennie, żyjąc wraz z matką chlebem, kartoflami, odrobiną wędliny i wodą.

To bohaterskie, nieprawdą? Zna pani to poświęcenie, droga pani X., i ma pani syna, który kocha tę dziewczynę. Czy przyjąłabyś ją za synową? Nie. Nie ma pani synów, nie grozi ci więc żadne niebezpieczeństwo, ale jesteś kobietą z towarzystwa? Czy posadziła-byś tę dziewczynę przy swoim stole? Czy tę dziewczynę, więcej wartą od ciebie, bo walczy i zwycięża, uczyniłabyś swoją przyjaciółką lub bodaj sobie równą? Nie. Cóż więc zyskuje na tym, że pozostała uczciwą? Własny szacunek, tak, i szpital po piętnastu dniach choroby; lub, ostatecznie, robotnika, który się z nią ożeni, który się upija i bije ją. Przypuśćmy (skoro jesteśmy w świecie przypuszczeń), że ten robotnik, zamiast się upijać i bić ją, będzie inteligentny, zrobi majątek, że będzie miał z tej kobiety córkę i że da tej córce milion posagu, nie licząc nadziei. Czy oddasz swego syna tej bogatej proletariuszce? Odpowiedz, droga pani? Doskonale. Pieniądz jest tedy dla ciebie rozstrzygającym argumentem. Zatem, czemu nie uznajesz, że może być wystarczającą racją dla tej istoty bez rodziny, bez wychowania, bez przykładów, bez rady i bez chleba?

„Niech się sprzedaje, powie mi droga pani, nie bronię jej, ale pan mi nie może zabronić gardzić nią i stronić od niej”. Dobrze. Zatem, zaczyna się walka. Zatem, pilnuj pani dobrze swego syna i swoich akcji w banku, droga pani! bo ta dziewczyna będzie już miała tylko jedną myśl, to jest zagarnąć jedno i drugie. Jeżeli się jej to uda, będzie to proste prawo wojny, i koniec.

Odmawiając cnocie prawa, aby była kapitałem, daliście to prawo występki.

Niezręczni! Kiedy naród chrześcijański, ba, katolicki, wyznaje lub udaje, że wyznaje, religię pokory, miłosierdzia, przebaczenia; religję, która ubóstwiła kobietę, uznając dziewicę Matką Bożą, rozgrzeszając Magdalenę i przebacząc cudzołożnicę; kiedy naród, który wciąż powołuje się na swą rewolucję z r. 89, który chce sprawiedliwości, wolności, równości, nie tylko dla siebie, ale dla innych; kiedy naród, który umiał zdobyć sobie palmę odwagi, rycerskości, dowcipu wśród innych ludów, jest dość obłudny, podły i głupi, aby pozwolić, by tysiące dziewcząt młodych, zdrowych, pięknych, z których mógłby uczynić inteligentne pomocnice, wierne towarzyszki, płodne matki, były dobre jedynie na prostytutki spodłone, niebezpieczne, bezpłodne, ten naród zasługuje na to, aby go prostytutka pożarła zupełnie, i to go nie minie.

Obróćcie się i spojrzcie na drogę, jaką pozwoliliście przebyć temu straszliwemu wrogowi.

Pomińmy prostytutkę legalną, tę, którą prawo uprawnia, zachęca niemal; bo prawo zachęca, popiera wszystko to, co toleruje. Pomińmy tę prostytutkę, którą cywilizacja uznaje za konieczną, nieodzowną nawet w społeczeństwie takim jak nasze, choćby tylko dla pp. wojskowych, którzy nie mogą obejść się bez niej w swoim garnizonie (niemoralna konsekwencja owej innej niemoralności nazwanej wojną), i zajmijmy się jedynie prostytutką wytworną, pachnącą, którą wycisnąłem wam lzy: zobaczycie, do czegoście dopuścili i dokąd idziemy.

Kurtyzana (bo przed trzydziestu laty nie mówiliśmy jeszcze utrzymanka, ani loretka, ani dziewczyna, ani kokota: — tyle potrzeba rozmaitych imion, aby określić dziś tę rozległą rodzinę!), kurtyzana nie była wypadkiem rzadkim, ale była wypadkiem tajnym. Światowiec, człowiek żonaty, kawaler, zamożny kupiec, bankier, stary generał, utrzymywał kobietę, zazwyczaj dość dobrze wychowaną, którą uwiódł jakiś przyjaciel rodziny, czasami krewny, aby ją potem oczywiście porzucić. Osoba ta była w tym niby małżeństwie kobietą niby uczciwą. Nie kompromitowała człowieka, który jej przyszedł z pomocą; nie afiszowała się nadmiernie i często była na tyle dystygowana, aby ją można było prowadzić pod rękę i na pytanie „kto jest ta osoba, z którą pana spotkałam?”, odpowiedzieć przyzwoitej kobiecie: „To pewna dama”. O ile te kobiety cieszyły się jakimś zbytkiem, zbytek ten był raczej dyskretny. Kobieta lekkich obyczajów miała powóz, miała pewien dostatek, była wyrocznią swej dzielnicy. Te panie oszukiwały człowieka, któremu zawdzięczały cały swój dobrobyt, z tą samą ostrożnością, jaką rozwija prawdziwa mężatka dla oszukania męża: ryzykowały bowiem tyleż, więcej nawet niż prawa małżonka, nie mogąc, jak ta, domagać się prawnie wiana. Owi mężczyźni, którzy żyli z nimi po dziesięć lat, piętnaście lat, niekiedy całe życie, nie opuszczali ich nigdy lub też przed śmiercią starali się im zostawić fundusz skromny, ale pewny. Żenili się z nimi niekiedy i nie wydawało się to czymś nadzwyczajnym.

Większość tych kobiet wychodzi — mamż powiedzieć? — z Saint-Denis. Córki ubogich oficerów, poległych za ostatnich wojen Cesarstwa, otrzymały wykształcenie i wychowanie ponad swoje środki i kiedy dojrzały do zamęścia, nie znalazły męża, którego byłoby trzeba dla tego wykształcenia, dla tego ubóstwa, dla tej urody i dla tych marzeń. Nawyk życia na cudzy koszt, nuda, sposobność, czasami serce, powodowały pierwszy upadek. Można było tedy jeszcze znaleźć u tych kobiet inteligencję, szlachetność, dowcip, oddanie, duszę. Były to ostatnie wcielenia Fryne, Marion, Delorme i Ninon de Lenclos. Umiały rozmawiać, prowadzić dom i dać swemu kochankowi coś więcej niż grubą rozkosz.

Takiej kobiety trzydziesto-, trzydziestopięcioletniej, pragnął doświadczony ojciec dla swego syna, iżby go wprowadziła w owo życie miłości, które każdy młody człowiek powinien, nie wiem czemu, wedle naszych obyczajów, poznać, zanim się ożeni. Słowem, były w życiu tych kobiet błędy, i liczne błędy, ale, jeśli miłość była tam wyzuta z wstydu, nie była wyzuta z przystojności.

Gryzetki, po jakiejś szczerzej i bezinteresownej miłostce z kupczykami lub studentami — miłostki, których *Dzielnica Łacińska* była ostatnim gniazdkiem, Paul de Kock ostatnim historykiem, a Murger ostatnim poetą — gryzetki pierwsze pomnożyły liczbę kobiet lekkich i, wprowadzając w tę klasę nowy żywioł, stworzyły typ utrzymanki. Po zbytku ufności, rozczarowaniach, próbach samobójstwa, biedne te dziewczyny wykrzyk-

nęły: „Dalibóg, głupia jestem, żeby mieć tyle serca!”. I zaczynały przyjmować klejnoty, suknie, kaszmiry, meble, wreszcie pieniądze, już nie od mężczyzny, ale od pana, którego kochały. Cały ten wydatek sprowadzał się do trzystu lub czterystu franków na miesiąc. Obiady w Vendanges de Bourgogne, zakryte łóżki w *Ambigu*, wieczorynki w Tivoli, to był ich zbytek, i jeszcze te skromne orgie odbywały się tylko w niedzielę, bo panienki prawie zawsze pracowały nadal w magazynie, chyba że pan był dość hojny, aby je same postawić na czele magazynu mód lub bielizny.

Miłość, praca, miały tedy w tym jeszcze udział. Małgorzata Gautier czy Maria Duplessis, jak wolicie, wyszła z tych kobiet. Była wprzód gryzетка: oto czemu miała jeszcze serce.

Stworzono koleje żelazne. Pierwsze szybko zrobione fortuny spekulantów rzuciły ich w wir uciech, w których kupna miłość stanowi pierwszą potrzebę. To, co u ubogich dziewcząt było jedynie ostatecznością, stało się zasadą. Ułatwienia lokomocji ściągnęły do Paryża mnóstwo bogatej młodzieży z prowincji i zagranicy. Nowobogacy, których większość wyszła z najniższych klas, nie lękali się kompromitować z taką lub inną dziewczyną, której przydomek zdobył na balu *Mabille* i *Chateau des Fleurs* szeroką sławę. Trzeba było dostarczyć stawy zapotrzebowaniom miłosnym wzrastającej ludności, tak samo jak potrzebom żołądka: wyrąb świeżego mięsa.

Kobieta stała się zbytkiem publicznym, jak psiarnia, konie i powozy. Czyniono sobie zabawę, aby odziewać aksamitem i tryndać w powozie dziewczynę, która tydzień wprzód sprzedawała ryby w halach lub nalewała wódkę murarzom. Nie dbano już o dowcip, ani o wesołość, ani o ortografię: dzisiejszy bogacz mógł być bankrutem jutro; trzeba było, nim to nastąpi, zabawić się z modną dziewczyną. Na tej giełdzie świeżych przedsięwzięć i zysków wątpliwej czystości, piękność stała się kapitałem, dziewictwo walorem, bezwstyd lokatą. Magazyny opróżniły się; gryzетки znikły, pośredniczki puściły się w ruch. Nawiązała się korespondencja między prowincją a zagranicą, a Paryżem. Czyniono zamówienia na miarę, ekspediowano ten żywy towar. Trzeba było nakarmić ryczącego minotaura i zaspokoić wilczy głód miłości. Zaczęto odkrywać piękności dziwaczne, osobliwe. Judzono je przeciw sobie jak koguty angielskie; pokazywano ich nogi w umyślnie pisanych sztukach: o ile były zbyt głupie, aby powiedzieć parę słów na scenie, sadzano je wpół nagie, umocowane prętem żelaznym, na wozach cyrkowych, i pokazywano je wam od dołu do góry. Wyczerpani, znudzeni, przeżyci światowcy, aby się rozerwać na chwilę, podjęli funkcje kontrolerów tego nieczystego metalu. Zepsucie miało swoje jury. Te nieszczęśliwe zabiegały o zaszczyt ich chłodnego łóża, aby móc powiedzieć nazajutrz: „Żyłam z tym a tym”, co podnosiło jej cenę w oczach dorobkiewiczów wielce dumnych z posiadania istoty, wychodzącej nie z ramion, ale z rąk hrabiego X. lub margrabiego Z. Tresowano je, kształcono, uczono je wysokiej sztuki rujnowania głupców i puszczano je na arenę. *Maison d'Or*, *Provençaux*, *Moulin Rouge*, płonęły od rana do wieczora i od wieczora do rana. Lancknecht i bakarat zaczęły się srożyć, rujnowano się, pojedynkowano, szachrowano, hańbiono się, okradano te dziewczyny, żeniono się z nimi. Słowem, stały się klasą, stały się potęgą. To co powinny chować jak wrzód, zatknęły niby pióropusz. Wzięły krok przed kobietami uczciwymi, dorzynały kobiety występne, których kochankowie byli dość nikczemni, aby opowiadać ich historie; uczyniły pustkę w salonach i sypialniach najlepszych rodzin. Kobiety z towarzystwa, oszołomione, osłupiałe, przestraszone, upokorzone dezercją mężczyzn, przyjęły walkę z tymi paniami na ich terenie. Zaczęły rywalizować w zbytku, wydatkach, ekscentrycznościach, z istotami, których nigdy nie powinny były znać imienia. Nastąpiła dobrowolna łączność między córkami odźwiernych a wnuczkami krzyżowców pod godłem krynoliny, szminki i miedzi weneckiej na włosy. Kurtyzany i damy z towarzystwa pożyczaly sobie wzajem patronów na suknie, za pośrednictwem brata, przyjaciela, kochanka, czasem męża. Nie tylko miały te same toalety, ale ten sam język, te same tańce, te same przygody, te same miłostki — powiedzmy wręcz, te same specjalności.

Oto, na co pozwoliły matki i żony. Oto dokąd spadliśmy. Powiem wam teraz, dokąd idziemy.

Idziemy do powszechnej prostytucji. Nie krzyczcie! Wiem, co mówię.

Serce znikło zupełnie z owego tajnego handlu przedajną miłością. *Damy Kameliowej*, napisanej przed piętnastu laty, nie można by napisać dziś. Nie tylko nie byłaby już praw-

dziwa, ale nie byłaby nawet możliwa. Daremnie szukano by dokoła siebie dziewczyny usprawiedliwiającej ten splot miłości, skruchy i ofiary. Byłby to paradoks. Ta sztuka żyje swą przeszłą reputacją, ale już wkracza w archeologię. Dwudziestoletni panicze, którzy ją przypadkiem czytają lub widzą na scenie, muszą sobie powiadać: „Czy istniały takie dziewczyny?”. A damulki muszą wykrzykiwać: „Ta dopiero była głupia!”. To już nie jest sztuka, to legenda; niektórzy mówią: lamentacja. Wolę legendę.

Serce znikło zupełnie z transakcji między wolnym mężczyzną a wolną kobietą; transakcja ta ogranicza się do tych terminów: „Ja mam urodę, ty masz pieniądze; daj mi trochę twego, ja ci dam trochę mego. Nie masz już nic? Bywaj zdrow! Nie ma u mnie kredytu, tak samo jak u piekarza!”.

Miłość uciekła, ale przyszła fortuna. Interes się udał, przedsiębiorstwo jest dobre, jest nawet pewne, mając za podstawę kapitał wieczysty, niewyczerpany: próżniactwo, pychę, próżność, głupotę, namiętność, zepsucie mężczyzny.

Niejednej z takich pań parę lat cierpliwości i zimnej krwi dały jeden albo dwa miliony ulokowane w pewnych walorach, w akcjach banku, nieruchomościach, obligacjach. Nie są już nawet rozrzutne. Pewnego pięknego dnia wyrzekają się zbytku, który był dla nich jedynie dekoracją lub narzędziem, i tak jak aktor, gdy schodzi ze sceny, sprzedają swoje świecidla, już bezużyteczne. Widzimy wówczas, jak przez stół taksatora przechodzą naszyjniki pereł i rywiery diamentowe, dostępne jedynie książęcej fortunie. Moglibyśmy wymienić kobiety, których płynny majątek sięga piętnastu, dwudziestu milionów. Przyznajcie, że to jest kuszący przykład i że uczciwa dziewczyna, która ma za posąg jedynie młodość i niewinność, która nie znajduje podpory ani pomocy w świecie, który ją otacza, może łatwo zapragnąć iść za tym przykładem, rzucić swój wstyd w diabły i wziąć los na tej loterii, na której prawie wszystkie numery wygrywają.

Te fortuny nabyte szybko, nieuczciwie, ale rozsądnie ulokowane, w co się obracają? Te damulki nie darują ich zakładom dobroczynnym.

Albo się nimi posługują, aby nabyć jakiegoś męża, albo pomnażają je przez szczęśliwe operacje, które doradzają im ich przyjaciele, a z których korzystają czasami ich kochankowie; pieniądź, jakie bądź byłoby jego źródło, zawsze znajdzie kogoś, kto go zużyje. Ten olbrzymi kapitał nie może pozostać bezczynny. Przedsiębiorstwa biegną ku niemu, aby skanalizować jego bieg i użyźnić inteligencje bezsilne i bezpłodne dla braku dżdżu. Wszelki nawóz jest dobry dla użyźnienia ziemi. Danae staje się z kolei Jowiszem, i oto pieniądź występku wnika w przemysł, w handel, w interesy; wspomaga, zasila, stwarza nowe majątki bardzo uczciwym ludziom. Jak wzbronić wstępu do domu kapitalistce, której się zawdzięcza swój spokój, pogodę ducha, przyszłość dzieci? To już nie są eks-kurtyzany, to bogate kapitalistki, zamożne właścicielki, których podpis jest jak złoto.

Te kobiety umierają; ktoś po nich dziedziczy, córki, synowie, siostrzeńcy, siostrzenice, kuzynki, krewni, przyjaciele. Ach! świat jest bardzo pobłażliwy wszędzie, a zwłaszcza u nas, dla tych cudownych spadków. Jeżeli nikt nie żąda rachunku od wielkiego pana z jego majątku, wyrosłego, przed jednym lub dwoma wiekami, z łupiestwa lub morderstwa, nasze wnuki nie będą bardziej wymagające od nas i nie będą pytały pana X. ani panny Z. skąd przyszły ich miliony. Pan X. i panna Z. będą mieli miliony: oto wszystko. Co znaczy źródło rzeki, byle płynęła i nawadniała! Pan X. będzie dobrą partią i znajdzie uczciwą pannę, z dobrego domu, ale biedną, która z radością zgodzi się nosić jego nazwisko; chyba że będzie wolał bogatą, która wybierze go spośród dwudziestu innych, aby zaokrąglić swój majątek i nieć kilka diamentów i parę koni więcej. I *vice versa* z panną Z.

Oto więc pieniądź prostytucji wślizguje się w rodziny, tak jak się wślizgnął w interesy. Czemu nie, ostatecznie. Z chwilą gdy głosicie krucjatę pieniędzy, wszelka broń jest dobra. Chwała zwycięzcom! Biada zwyciężonym! Główna rzecz, to wzbogacić się szybko: wiercie mi, że nie będzie się czekało dwóch albo trzech generacji, aby dojść do tego punktu, i że wiele tych twórczyn własnej ojcowizny znajdzie dla siebie samych związki, które my, przez szacunek dla naszej epoki, wolimy przesunąć o pięćdziesiąt lat później. Czy nie widzieliście już w ostatnich czasach ludzi z towarzystwa, i to z najlepszego towarzystwa, żeniących się z kobietami, które ich zrujnowały, po to by odzyskać własne pieniądze? Kupców zakładających głośne i prosperujące przedsiębiorstwa, pobłogosławione przez duchowieństwo, przy pomocy osobliwych posagów? Czy nie przypominacie sobie wczorajszego procesu, w którym oglądaliśmy młodego magnata, gotowego, za określoną

sumę, dać swoje nazwisko synowi jednej z takich panienek, która czyniła tę ofiarę, iżby jej syn miał wreszcie ojca.

Zatem, w roku dwutysięcznym — „data, którą można dyskutować”, jak powiada Beranger — jeżeli rzeczy pójdą tak dalej, przez spadki, przez przyzwyczajenie, przez przykład, przez interes, przez bierność, dzięki swoim pieniądzom, prostytutka wnuknie nieuchronnie we wszystkie rodziny. Choroba nie będzie już ostrą, stanie się organiczną. Przejdzie w krew Francji.

Aby zapobiec złemu, jaki sposób znalazły kobiety, matki, ojcowie i panny na wydaniu?

Niegdyś mężczyźni mówili, kiedy im proponowano pannę: „Ile ona ma?”. Dziś, młode panny i ich rodzice, kiedy im mówić o mężu, pytają: „Ile on ma?”. Szlachcic czy łyk, inteligentny czy głupi, brzydki czy piękny, młody czy stary, mniejsza. Aby był bogaty, oto wielka sprawa. Te dziewice wiedzą, co kosztuje dom. Nasz kolega Leon Laya wesoło i sprytnie położył palec na tej nowoczesnej przywarze w *Księciu Hiobie*, i publiczność zrozumiała. Było to przed siedmiu czy ośmiu laty. Co za postęp od tego czasu!

Tak więc, czy węzeł jest z szarfy mera czy z przepaski Wenery, skoro w związek mężczyzny i kobiety wchodzi tylko pieniądze, jest to handel; i ten handel, moje panny, to typowa prostytutka, droższa od innej, ponieważ kodeks ją gwarantuje, ponieważ rodzina ją uświęca, a nazwisko nabywcy pokrywa. Czy zostajecie przynajmniej wierne nazwisku któregoście otrzymały, kontraktowi, któryście podpisały, interesowi, któryście zrobiły? Nie przypuszczam, jeżeli mam wierzyć w to, co słyszę, co wiem, co widzę.

Jednakże, strzeżcie się: mężczyzna nie jest tak głupi, jak kobiety chcą gwałtem wierzyć — czuje dobrze, gdzie się go prowadzi, i czyni to bardzo proste rozumowanie:

„Ej, mam tedy dziesięć albo pięćdziesiąt, albo sto tysięcy franków renty (weźcie proporcje, jakie chcecie); przypuśćmy, że się ożenię. Z chwilą, gdy żona przynosi mi tylko ciało, które znam do połowy dzięki modnym tualetom, ale które tym samym wszyscy znają równie dobrze jak ja, cena zdaje mi się nieco słona. Małżeństwo to spokój, współżycie, rodzina, godność, miłość... Spokój! Trzeba mi będzie wozić żonę na wyścigi, do teatrów, na balet, do wód. Współżycie! Godzin, w których będziemy sami, ledwie starczy jej na wypoczynek. Rodzina! Skąd weźmiemy czas na to, aby mieć dzieci, przyjąwszy, że płodność da się pogodzić z owym życiem istnego bąka, obracającego się tak szybko, że nie widać dziurki, która robi hałas? Godność! Gdzie jest godność kobiety, która obnaża się po pas, która daje się ubierać mężczyźnie, która ma łożę w *Alcazar* i której młodzi przyjaciele dają przydomek jak tancerkom w *Mabille*? Miłość! Nie ma co o niej mówić, skoro ona żyje wszystkimi tymi rzeczami. Moja żona będzie tedy dla wszystkich, prócz dla mnie. Wolę raczej wziąć żonę wszystkich, wypadnie mi procentowo taniej, nie będzie mogła mnie zhańbić, nie będę musiał dawać mego nazwiska jej dzieciom i puszczać ją w trąbę, kiedy będę miał jej dosyć. Ot, co!”

I młodzi ludzie nie chcą się już żenić. I są nawet tacy, którzy, przez zniechęcenie albo przez oszczędność, próbują stać się kobietami, co bardzo upraszcza rzeczy, i którym się to w końcu podobno udaje. Nie chcą nawet nosić imion męskich. Za Henryka III nazywano ich *mignons*, dziś nazywa się ich *duchesses*. Utworzyli stowarzyszenie. Podnieśli przeciw płci słabej sztandar niepodległości; udowodnili, że mogą się bez niej obejść; aby zaś dzieci się ich kiedyś nie wyparły, robią podobno jak Saturn, zjadają je! Źle mówię, Saturn zjadał tylko swoje!

Dokąd idziemy?

„Wszystko to jest lokalne, powiadają optymiści, to są obyczaje Paryża, i to jeszcze pewnego Paryża w Paryżu”. Przypuśćmy; ale Paryż to mózg Francji, kiedy zaś jest nowotwór w mózgu, cały organizm cierpi, i prędzej czy później przychodzi paraliż. Nie, ta choroba nie jest lokalna. Te zarazki, raz zaszczepione w jakiś organ, wnikają w cały obieg krwi. Choroba jest dawna i od dawna się zapowiada. To nie jest tak, jak myślał albo raczej jak mówił p. Dupin (człowiek w jego wieku i z jego doświadczeniem nie mógł wierzyć w tak błahą przyczynę), to nie jest kwestia zbytku i krynoliny, to kwestia społeczna. Od dawna już kobieta skarży się, krzyczy, woła o pomoc. Nikt jej nie odpowiedział. Robi wreszcie swoją rewolucję, w biały dzień, bronią, którą otrzymała od natury: Chytrność i Piękność. *Wyrzuciła ołtarz, aby żenić uczynić alkowę. Zastąpiła Boga złoconą gilotynką*

*i uśmierca na niej mężczyznę wśród śmiechu i tańców*².

Co zrobić?

Trzeba przywrócić miłość we Francji, tym samym w całym świecie.

Ale miłości nie da się przywrócić jak straconej krwi albo jak państewka niemiec-kiego. Miłość jest uczuciem. — Falsz. Miłość jest potrzebą. To siła natury, największa i najpotrzebniejsza; i jak wszystkie siły natury, jak piorun, parę i elektryczność można ją kierować, użytkować, doskonalić.

Aby się ograniczyć do samej kwestii miłości między mężczyzną a kobietą, pomijając inne objawy miłości, miłość ludzkości, wolności, wiedzy, sławy, etc., które są ubocznymi produktami owej potrzeby kochania zrodzonej z człowiekiem, jakie są dwa bezpośrednie następstwa miłości? Rozmnażanie i rodzina. Z rozmnażania i rodziny muszą wynikać te dwa dalsze następstwa: praca i moralność. Z pracy i moralności, poszczególne grupy społeczne, i, jako ostateczny wynik, spójnia całej ludzkości w jedność interesów, uczuć, ideału.

Otóż, z chwilą gdy jakaś naturalna przyczyna, fizyczna lub moralna, ma następstwa społeczne, społeczeństwo ma prawo troszczyć się o rozwinięcie, pokierowanie i doskonałość tych wyników. Uczyniło to, ustanawiając małżeństwo, z którego wypływa solidarność rodziny oraz dziedziczenie nazwiska i majątku. To już nie wystarcza; społeczeństwo nie ma prawa zatrzymać się w połowie dzieła. Nic nie jest zrobione, dopóki pozostało coś do zrobienia.

Nazwijmy rzeczy jasno. We Francji zwłaszcza, obawiamy się słów, i ten lęk nie pozwala pojęciom posuwać się naprzód. Skoro nigdy rzeczy nie nazywa się ich mianem, winny ma prawo powiedzieć: „Ja nie wiedziałem, że to to”. Usuńmy tę wymówkę, mówiąc bezwzględnie prawdę.

W stanie natury, co to jest miłość u ludzi i u zwierząt?

Niech was nie obraża to zestawienie. Ludzie wymyślili wstyd, poezję, poświęcenie, przywiązanie w miłości; ale wymyślili także nadużycia, handel, rozpustę, obłudę, czego nie wymyśliło żadne zwierzę. Natura uczyniła zwierzę bezwstydnym, społeczeństwo uczyniło człowieka niemoralnym. Jedno za drugie; dla fizjologa rachunek wyrównany.

W stanie natury, u człowieka i u zwierząt, miłość jest potrzebą fizyczną, która się objawia w okresie dojrzewania; potrzebą, która pcha istotę ukształtowaną w pewien sposób ku osobnikowi ukształtowanemu w odmienny sposób. Z tego zetknięcia naturalnego, dobrowolnego, nieodzownego w harmonii i dla harmonii świata, rodzi się nowy osobnik, który dziedziczy prawie zawsze usposobienie, postać, charakter, po swoich dwóch protoplastach, płęć zaś po jednym z nich.

Ludzie ukształtowali się w społeczeństwa. Najoświecieńsi, najmądrzejsi, najbardziej obdarzeni iskrą bożą uznali najpierw w samych sobie, a w drugich przez dedukcję, istotę wyższą od istoty zwierząt, rządzących się samym instynktem. Ci ludzie, uwierzywszy w losy ludzkości, uczynili z potrzeby uczucie, z zespolenia zobowiązanie, ze skutku powinność. Owo uczucie to miłość; owo zobowiązanie to małżeństwo; owa powinność to rodzina.

O ile ludzkość jest czymś wyższym, nie wszyscy ludzie są wyżsi jak ona. Mają popędy, skłonności, usposobienia, charaktery, namiętności o niezliczonych odmianach. Byli zatem ludzie, którzy się chcieli umknąć ustanowionym prawidłom lub uczynić z nich środek dla swych osobistych korzyści. Ci, którzy mieli gorącą krew i którym jedna kobieta nie wystarczała, starali się zdobyć rozkosze miłości bez zobowiązań małżeństwa i powinności rodzinnych; ci, którzy szukali jedynie dobrobytu, przyjęli miłość pozornie, a małżeństwo w rzeczywistości, w zamian za odszkodowanie w sumie... wniesione przez kobietę. W pierwszym wypadku, rozpusta; w drugim, handel. Z dziewcząt, które uchyliły się od małżeństwa lub nie mogły go osiągnąć, niektóre zażądały odszkodowań pieniężnych; z kobiet, którym dano tylko małżeństwo, niektóre zażądały pociech miłości.

Z jednej strony powstała prostytutka.

Z drugiej strony narodziło się cudzołóstwo.

Społeczeństwo, upośledzone przez te postronne i niezdrowe układy w swoim rozwoju i postępie, musiało się wnieść na nowo, nie tylko z punktu moralności, ale i z punktu

²Wyjurociła oltarz (...) wśród śmiechu i tańców — [por.] *Pojęcia pani Aubray*. [przypis tłumacza]

zdrowia publicznego. Powiedziało dziewczętom wolnym: „Skoroście uczyniły z miłości handel, będziecie ponosiły ciężary handlowe, będziecie miały sklep, patent, i kartę; do tego będziecie otoczone pogardą”. Powiedziało cudzołożnym żonom: „Skoroście złamały warunki kontraktu małżeńskiego, pozwalam mężowi odtrącić was i świat będzie wami pogardzał”. W obu obozach jedynie dziewczęta głupie i kobiety niezręczne dały się osaczyć. Najsprytniejsze z kurtyzan unikają karty; z kobiet zameężnych, najzręczniejsze omijają prawo. Dziś prostytutka uświetnia i wzbogaca jedne, cudzołość zaś pociesza i niekiedy wzbogaca drugie.

Oto gdzie jesteśmy.

Tym razem, społeczeństwo nie ma już odwagi się wmieszać; i źle czyni. Nigdy zło nie było tak wielkie, a mimo to jest do naprawienia. Zobaczmyż sposoby.

Jakie są prawdziwe lub fałszywe wymówki kurtyzany? Jakie są prawdziwe lub fałszywe wymówki cudzołożnej żony?

Wymówki kurtyzany są: ciemnota, brak rodziny albo jej zepsucie, złe przykłady, brak wychowania, religii, zasad, *a zwłaszcza i zawsze pierwszy błąd* popełniony często z krewnym, niekiedy z bratem lub ojcem (zajrzyjcie do statystyk w prefekturze policji), matka, która je sprzedała, wreszcie nędza i wszystko, co jej towarzyszy.

Wymówki cudzołożnej żony to mąż, który ją zaniedbuje, oszukuje albo rujnuje; próżniactwo, niemoc mężczyzny, bezpłodność kobiety, potrzeba oparcia, współzycia i przyjaźni.

Jakie są sposoby, aby kobietom, zameężnym czy nie, udaremnić ich wymówki, tak aby im pozostały jedynie te, których nie podają nigdy (właśnie dlatego, że społeczeństwo daje im prawo przytaczać owe inne), które to niepodawane są: lenistwo, nuda, ciekawość i zmysły?

Czytelniczka moja rumieni się, zgorszyłem ją!

Cóż pani chce, to moje zadanie zdzierać zasłonę z rzeczy jak i z ludzi, a wiem dobrze, że jedynie słowo cię przestrasza, nie rzecz. Kiedy ci jasno ukażę bezceństwa kryjące się pod giętkimi frazesami, w które je spowijasz, mniej może dasz się łapać na te frazesy. Kiedy przyjmujemy ten zbawienny obyczaj, aby dawać ten sam epitet kobiecie zameężnej, matce rodziny, kochanej przez męża i dzieci, która oszukuje męża i oddaje się innemu, co kurtyzanie, która się sprzedaje, kobieta zameężna będzie się dłużej wahała i może się cofnie. Kiedy cudzołożna żona będzie wiedziała, że, zamiast mówić o niej: „Pani X jest zajęta panem Z”; albo — „kompromituje się trochę z panem Y”, — powie się: „Pani X... (daruję jej jeszcze tym razem) z panem Z!” — tam do licha! kobieta dwa razy się obejrzy, nim popełni cudzołość; a wszakże fakt jest ten sam pod przenośnią czy pod nazwą techniczną. Tylko kobiety światowe, które nie skalająby ust, nawet dla obrony cnoty, wyrażeniem godnym koszar lub lupanaru, wydają swoje ciało, w imię miłości, na akt najbardziej poniżający, jaki ciało może znieść, i równający je, nawet dla mężczyzny, który z tego korzysta, z najpospolitszą prostytutką.

Skoro otwarliśmy ten nawias, nie zamykamy, go nie powiedziawszy wszystkiego, i skończymy z tą kwestią cudzołości, którą bierzemy tak lekko, gdy chodzi o żonę cudzą, a która nas oburza, hańbi, przywodzi do rozpacz i zabija, gdy chodzi o naszą. W istocie, dziwny z nas naród! Cały nasz rozum, to to żeśmy wmówili światu, że jesteśmy rozumni; prawdziwego bowiem rozumu w sądzie i w postępowaniu, sprawiedliwości, zdrowego sensu, nie ma ani w naszych obyczajach, ani w naszych uczynkach, ani nawet w naszych prawach ani śladu. Z czego śmiejemy się najwięcej w teatrze? Z oszukanego męża. Co nam się zdaje w życiu największym nieszczęściem? Być tym mężem. Co opowiadamy najbardziej lekko, wesoło, dowcipnie? Kłopoty małżeńskie naszych przyjaciół. Czego obawiamy się najwięcej? Aby nie opowiadano tego samego o nas. Od człowieka, który nas nazwie głupcem, wystarczy nam żądać przeproszenia lub lekko go drasnąć szpadą; z tego, który nas nazwie rogowcem, wypijemy wszystką krew, jeżeli zdołamy. Cześć naszej żony jest tedy czymś najświętszym dla nas, bo nasza żona to nasze nazwisko, nasza miłość, nasza rozkosz, nasz powiernik, matka naszych dzieci, piastun naszych tajemnic, naszych słabości, naszych nadziei, nasza własność wreszcie (oto właściwe słowo). Najgodniejszym wzgardy wśród ludzi jest ten, kto lekceważy tę cześć i handel tą własnością. Zatem, oświadczmy publicznie, że cudzołość nie jest śmieszne, że to jest zbrodnia, do której trzeba stosować najsurowsze kary, zamiast, jak czyni prawo, zadowolić się rozłą-

czeniu małżonków lub uwięzieniem na kilka miesięcy kobiety. Co do niej, powiedzmy jej równocześnie, że nie ma wymówek i że, jeśli udajemy, że w nie wierzymy, to dlatego, że jesteśmy dobrze wychowani, że jest piękna, że myślimy, iż przyjdzie nasza kolej lub też że jesteśmy w tym samym położeniu i że nie możemy nic powiedzieć.

W czasie gdy kobietę wydawano za mąż bez jej wiedzy, na mocy dawnych układów między rodzinami, za osobnika, którego nie znała, brzydkiego, starego, niechlujnego, rozpustnego; kiedy jej trzeba było wybierać między małżeństwem a klasztorem, miała ona argument w zapasie, a kochanek był jej odwetem. Ale dziś, kiedy nic w świecie poza jej własną wolą, nie może zmusić młodej dziewczyny do zaślubienia niemiłego jej mężczyzny; dziś, kiedy w ostatniej chwili jeszcze może powiedzieć „nie” i znajduje prawo chroniące ją bodaj przeciw własnym rodzicom, o ile do tej chwili działała pod ich wpływem; dziś, kiedy kobieta — czy to żąda od małżeństwa miłości, czy majątku, czy herbów, czy przyjemności, czy szczęścia — zawiera kontrakt świadomie; skoro zna doskonale terminy kontraktu, z dniem, w którym go łamie, nie ma wymówki i jest... Mam powiedzieć?

— Przypuśćmy — odpowiadają kobiety — nie podlegamy bezpośredniej władzy rodziców, ale wciąż podlegamy ich władzy moralnej. Nie mamy doświadczenia, jesteśmy łatwowierne, nie znamy kodeksu, nie znamy naszych praw; wreszcie, skąd wzięłybyśmy odwagę, aby ich bronić? Wychowują nas w posłuszeństwie i uległości, sami rodzice myślą się niekiedy w najlepszych intencjach. Przedstawiają nam młodego człowieka, który na pozór jednoczy wszystkie przymioty; dobra rodzina, urodzenie, wychowanie, majątek, inteligencja, talenty, elegancja, uroda nawet; podoba nam się, zakochujemy się, to tak łatwo spodobać się młodej pannie! Zaślubiamy go z całego serca i w pół roku później, czasami na drugi dzień, maska opada, i znajdujemy się w obliczu rozpustnika, gracza, człowieka, który nas rujnuje i bije, który nas zaniedbuje, który zatrzuwa nie tylko nasze serce, ale czasami nasze ciało; wówczas... wówczas...

— Wówczas co, pani?

— Wówczas, ponieważ jesteśmy istoty słabe, ponieważ wdychamy zawsze do ideału, ponieważ nie chcemy wyrzec się naszych marzeń, ponieważ wreszcie chcemy kochać, pozwalamy sobie zakochać się w innym mężczyźnie: miejcie pretensję do męża, który nas oszukuje, i do prawa, które nas gnębi!

Na mnie kolej.

Przyjmuję pani historię i pani argumenty; przyjmuję, że panią skojarzono z osobnikiem wstrętnym i godnym pogardy, że pani czuła potrzebę przelać swoje zgryzoty, swoje marzenia, swoje zawody, swoje bóle w serce przyjaciela. Idę dalej. Rozumiem, że pani kocha innego, i jest pani w rozpacz, że go pani nie spotkała przed tamtym. I do czego panią logicznie prowadzi ta sytuacja? Do wzdętych, do gniewu, do zemsty, do rezygnacji, do samobójstwa, do znienawidzenia tego człowieka, a może i dzieci z niego poczętych, w których go pani odnajduje; do tego, aby stać się Hermioną i kazać zabić Pyrrusa, aby być Medeą i zamordować swoich synów? Ale nie ma żadnego możliwego związku między pani boleścią, pani zazdrością, pani zawodem, rozpaczą a małym spazmem stanowiącym cudzołóstwo, które tak dalece nie jest w pani prawie, że je pani trzyma w najgłębszej tajemnicy; które jest tylko rozpustą, skoro macierzyństwo jest zeń gwałtownie wydarte, skoro nie wolno ci jest zapomnieć się ani na chwilę, skoro cała twoja przytomność umysłu, twoja zimna krew musi sprawować strażę dokoła twoich zmysłów.

„Poryw — odpowie mi pani. — Pewnego dnia, w chwili zwierzeń, w chwili wyznań, ciało nasze, o którym nie myślałyśmy nawet, poszło za naszą duszą... Nie jesteśmy z kamienia, jesteśmy z ciała i kości; z chwilą gdy kochamy, kochamy wedle praw natury; następnie zaś powierzałyśmy z przyjemności, z nawyku, z miłości, to, co zaczęłyśmy przez słabość”.

Oto wszystko, co chciałem usłyszeć; nie powołujcie się tedy zawsze jedynie na potrzeby swej duszy. Powiedzmy, ostatecznie, że równocześnie chcecie dać żer swoim zmysłom. Otóż, bardzo mi przykro dla pani, ale nie widzę różnicy między kobietą, która poza małżeństwem oddaje się mężczyźnie, aby dogodzić swemu ciału, a tą, która się oddaje, aby wyżywić lub przystroić swoje: chyba tę, że jedna rozporządza samą sobą, nie oszukuje nikogo, gdy druga łamie zaprzysiężoną wiarę, zdradza męża, okrywa wstydem dzieci i igra z dzieciobójstwem. Ona nic nie kosztuje, oto jej jedyna zaleta.

Młoda dziewczyna, która nie wie nic o realnościach życia, którą natura pcha do miłości, może ulec uwiedziona doświadczeniem lub namiętnością mężczyzny, który wie, jak się gra na kobiecie. Ale kobieta zamężna! Niestety, pani, zmuszony jestem pani powiedzieć: choćby była zamężna tylko jeden dzień i jedną noc, z chwilą gdy wie, czego się trzymać co do cielesnych następstw małżeństwa, nie może być uwiedziona. W tej samej chwili gdy mężczyzna mówi jej pierwszy raz i z największym w świecie szacunkiem, że ją kocha, wie doskonale, do czego ten mężczyzna zmierza. Nie zamknąć mu ust od pierwszego słowa, znaczy powiedzieć mu jasno: „Cierpliwości, drogi panie, ma pan widoki zabawić się ze mną”.

A teraz, skorośmy do tego doszli, powiem pani wszystko; w tym celu zdradzę nawet moją pleć, bo mi idzie o pani ocalenie: ten tylko godny jest twej miłości, który cię uznał godną swego szacunku. Powiedzieć kobiecie należącej do innego, że się ją kocha i że chciałoby się posiąść jej miłość, to znaczy rzucić jej w twarz najgrubszą obelgę; to znaczy powiedzieć jej: „Widzę w pani niezłą rozrywkę, wystarczający przedmiot moich przyjemności; ale zachowuję moje nazwisko, mój majątek, mój szacunek, moją wolność, dla kobiety uczciwszej od pani, która będzie wymagała ode mnie innych dowodów miłości niż te podrygi, które pani ofiaruję”. Niech pani to dobrze pamięta i niech pani nam nie opowiada, że pani tego nie wie, teraz, kiedy to jest wydrukowane i każdy może to przeczytać: mężczyzna kocha jedynie tę kobietę, którą szanuje, a nie szanuje nigdy kobiety, która może mu się oddać jedynie dzieląc się. W tej samej chwili gdy mu się oddaje, wówczas gdy jest najbardziej roznamiętniony i najszczerzej jej oddany, odbywa się, bez jego wiedzy, w jego myśli, w jego sumieniu, w jego poczuciu sprawiedliwości, proces rozkładu, który odnajduje, wracając do domu i po którym kobieta nie wydaje mu się już taką, jaka była wprzód. To wzgarda, która wcisnęła się w miłość, w mikroskopijnej dawce, przypuścmy, ale która będzie rosła co dzień, a wzgarda jest najsilniejszym niszczycielem naszych uczuć. Choćby zerwanie stosunku nastąpiło aż w dziesięć lat później, sięga ono dnia upadku. Przypomnijcie sobie dobrze: występni czyni was nie to, żeście kochały, ale to żeście służyły; w dniu, w którym się oddajecie, jesteście niższe od kurtyzany, popełniacie czynek równie haniebnym jak ona, ale głupszy, bo ona zarabia coś na tym, bodaj kawałek chleba, a wy tracicie wszystko, szacunek innych, swój własny i szacunek swego kochanka. To się nazywa głupi interes!

O kobiety! kiedy myślicie, że miłość jest najpiękniejszym haraczem, jaki mężczyzna może wam spłacić, w jakimż jesteście błędzie! Gdybyście wiedziały, o ile większym jest milczący hołd wewnętrznego szacunku, jaki budzi wasza skromność nie tylko w ludziach bogobojnych, w roztropnych starcach, ale w najmłodszych, najbardziej rozhukanych, najbardziej rozwiązłych. Miast was kojarzyć w swoich myślach i wspomnieniach z tą lub inną ladacnicą (przychodzi chwila, w której nie czynią wielkiej różnicy między wszystkimi kobietami, od których otrzymali jedno i to samo), kojarzę was, w swoim szacunku, w swojej czci, w tabernakulum owego najgłębszego sumienia, którego nigdy nie zatłumi zupełnie występki, ze swymi matkami i siostrami, z młodą dziewczyną, której by pragnęli za towarzyszkę życia, z córkami, które chcieliby z niej mieć, bo wszystkich nas kołysało to samo marzenie. Nie, rozpustnik nie będzie ci mówił ani o twojej piękności, ani o miłości, z wymową, uniesieniem i drżeniem, jakich szybszy obieg krwi użycza słowom, gestom, całemu organizmowi trawionego żądzą mężczyzny; ale, kiedy się zbliży do ciebie, ogarnie go święte wzruszenie, którego niebiański blask ujrzysz na jego czole i w jego oczach niby pierwszy brząsk na szczycie lodowca. Postawa jego będzie szlachetna, słowa jego będą silne, oczy bliskie łez, serce jego będzie swobodnie biło w piersi. Wystarczy ci rzec jedno słowo, aby oddał na twoje rozkazy swoje czyny, może swoje życie. Jeżeli pani lubi mocne przyjemności, stwórz sobie tę oto; nie ma na świecie wyższej.

Nie zamierzam, domyśla się pani, niszczyć miłości, ani cudzołóstwa, ani miłostek, ani nawet prostytucji w tej pięknej Francji, która im zawdzięcza największą część swojej sławy. Nie zaprzeczam też, że istnieją poza małżeństwem owe namiętności nieodparte, fatalne, których żadne prawo nie zwalczy, żadne rozumowanie nie zwycięży, które porywają tych, co im ulegają nie tylko poza prawidła świata, ale nawet poza granice ziemi. Te namiętności niosą z sobą swoją katastrofę, swoją karę, swoją sławę, swoje odkupienie. Zagarniają całe życie swoich ofiar. To Heloiza i Abelard w rzeczywistości, to Romeo i Julia w urojeniu; ale te legendy miłości są rzadkie. Wszystkie kobiety marzą o nich dla

siebie; ale wiedzą dobrze, że nie w swoim buduarze ani w swoim salonie, między kawą a herbatą, znajdą bohatera z Werony albo parakletowego filozofa. Toteż nie do Julii ani Heloiz, o ile jeszcze istnieją, odnosi się ta przedmowa. Te znają i będą znają wzruszenia, wobec których argumenty moje i wszystkie argumenty filozofii będą miały tyle wartości i siły co źdźbło słomy. Szanuję je zresztą i gotów jestem je opiewać. Miłość w tej sile jest prawie równa cnocie. Mierzę mniej wysoko i zajmuję się jedynie miłością potoczną, która jeździ powozem, do teatru, na bal, która śmieje się podczas, która płacze potem, która zaczyna się na nowo i która, pod tą podwójną postacią — prostytutka — cudzołóstwo — podkopuje pomału rodzinę, bez niczyjej wiedzy, jak szczury podkopują dom bez wiedzy lokatorów. Zmęczyło mnie też, wyznając, słyszeć wciąż te same wykręty, te same sofizmaty dotyczące tej starej kwestii; chciałem tedy przed śmiercią zrobić sobie tę przyjemność, aby wydrukować całą prawdę. Sposobność się nadarzyła, chwyciłem ją. Niech pani skorzysta z tego, radzę pani — jeżeli jeszcze czas.

Gdzieśmy byli przed tym nawiasem? Przy środkach praktycznych które przyrzekłem, jeżeli nie dla zniszczenia zła, to przynajmniej dla złagodzenia go, dla przekształcenia go, spożytkowania może. Skoro obecne układy społeczne oraz banalne praktyki religijne dostatecznie wykazały swą bezsilność, zobaczmyż, co nam doradza Konieczność, a co nam ofiarowuje Prawo. Kiedy się ma za sobą siłę i kiedy się chce absolutnie dobrego, skoro nie można przekonać, trzeba zmusić.

Wyjdźmy najpierw z tej elementarnej zasady: że, gdyby wszyscy złodzieje i wszystkie nierządnicę znaleźli, przychodząc na świat, uczciwą rodzinę, zapewniony majątek i zdrowe wychowanie, nie byłoby ani złodziejów, ani nierządnic. Ci, którzy by obrali mimo to tę niebezpieczną karierę, to byłiby wariaci; a te, które by wybrały to hańbiące rzemiosło, to byłyby kobiety chore.

Widzimy mężczyzn i kobiety, które, urodzone z nieuczciwych rodziców lub wzrosłe w zgubnym środowisku, unikają niszczącego wpływu, wyzwalają się z chorobliwej atmosfery; chcą się ratować i ratują się. Zatem przeobrażenie jest możliwe, nawet w najgorszych warunkach.

Pomóżmy mężczyznom bez środków i chrońmy kobiety bez obrony.

Jakie schronienia ofiarowuje społeczeństwo jednym i drugim? Ludziom czynnym, młodym i zdrowym, pozbawionym środków do życia, ofiarowuje służbę wojskową, to znaczy zabezpieczenie materialne w życiu i chwałę w śmierci. Dziewczętom rzeńskim, młodym i zdrowym, pozbawionym środków do życia, ofiarowuje rozpustę, to znaczy hańbę za życia i po śmierci. Jednym i drugim, kiedy popełnią występki, więzienie lub śmierć, wedle stopnia występku; wszystkim zaś, kiedy będą umierający, przytułek; kiedy umarli, wspólny dół; kiedy wyzdrowieli — bruk.

Bardzo dobrze.

Mężczyzna zawsze jeszcze lepiej jest obdarzony w tym podziale. Zostawmy na stronie dobroczynność prywatną, zakłady dobroczynne, żłobki, które stanowią pomoc dobrowolną i istnieją jedynie z braku przewidywania i wyższych rękami.

Prawodawca, który, jako mężczyzna, musiał przyjąć, że mężczyzna może mieć temperament i nie może mu się oprzeć, równocześnie zaś musiał zabronić żołnierzowi żenić się nie tylko przez siedem lat, które służy — siedem lat największych jego sił — ale także przez lata poprzedzające popis, o ile nie ma środków, aby sobie kupić zastępcę, prawodawca znalazł się między tymi trzema koniecznościami: pobór, bezżeństwo i miłość. Trzeba było tedy otworzyć upust dla szału miłosnego, na który Natura, która nie przewidziała poboru, liczyła dla utrwalenia gatunku, ile że człowiek, od osiemnastu do dwudziestu ośmiu lat, raczej był przeznaczony do tworzenia ludzi niż do niszczenia ich.

Posłuchajmy nieco logiki społeczeństwa powiadającego do mężczyzny; „Od osiemnastu do dwudziestu ośmiu lat nie tylko nie będziesz płodził dzieci, ale będziesz uprzątał możliwie największą ilość ludzi zdrowych”. Szczęśliwy rachunek, który, w określonym czasie, sprowadziłby nieuchronnie — gdyby wojna miała przetrwać na ziemi — upadek, uszczuplenie, ostatecznie zaś zniweczenie rodziny i rasy ludzkiej.

Odplyw konieczny, nieodzowny, znaleziono w prostytutce kobiet. Za kwotę, która waha się między dziesięcioma frankami a czterema su, każdy mężczyzna, wojskowy czy nie, może posiadać ciało kobiety żywej, której nie zna, przez czas konieczny dla jego potrzeb, dla jego przyjemności, dla jego namiętności, dla jego bestialstwa. (Upamiętnijcie to sobie dobrze, to potworne!). Ta kobieta zapisana jest w prefekturze policji: ma numer, podlega regułom policyjnym i sanitarnym. O jej duszy, rozumie się, nie ma mowy. Jeżeli przez kaprys fizjologii zostanie matką, ma do rozporządzenia szpital albo dzieciobójstwo: ale fizjologowie i statystycy powiedzą wam, że prostytutka rodzi tylko bezpłodność.

Co za szczęście!

No i co? A Bóg? ten Bóg, któremu wznosicie kościoły na wszystkich placach, którego wzywacie we wszystkich odezwach, dla którego żywicie, utrzymujecie i wspieracie kapłanów we wszystkich krajach, którego przedstawiciela utrzymujecie siłą w Rzymie; ten Bóg, który żąda nieustannej płodności, który potrzebuje jej dla swego dzieła, nieco ważniejszego niż wasze; ten Bóg, który nakazuje miłosierdzie, spójnię, jedność braterską, co on robi w tym wszystkim? Więc to jest prawda, że wy w Niego nie wierzycie? A moralność, a wstyd, a wszystkie owe cnoty, które głosicie w swoich świątyniach, na swoich zebraniach, którymi chcecie nas karmić nawet w teatrze, więc to prawda, że wy sobie drwicie z tego wszystkiego?

Jeżeli pp. wojskowi, którzy mają przeciętnie tylko od jednego do czterech su dziennie, znajdują wszyscy, przy tak szczupłych środkach, sposób nabycia sobie kobiet, lepiej uposażone mieszczyki znajdują je tym łatwiej. Tylko, ponieważ są bogatsi, są bardziej wymagający niż synowie Marsa; nie chcą dzielić z nimi faworów koszarowej Wenera. Wynaleźli prostytutkę wolną, stanowiącą ową olbrzymią ciżbę tzw. „utrzymanek”, która to ciżba rośnie i rozlewa się tak bardzo, że od niej trzaska obyczaj i prawa, tak jak Paryż, ich ojczyzna, wyłamał swoje rogatki.

Między tymi dwiema kategoriami, jedną zbyt niską, drugą zbyt drogą, aby wszyscy chcieli lub mogli się nimi posługiwać, roi się cała chmara biednych dziewcząt, służących ze wszystkich pięt, robotnic wszelakiego rodzaju zmuszonych zarabiać na życie. Na te rzucają się robotnicy, lokaje, subiekci i pp. wojskowi już z szarżą, którzy chcą być kochani *gratis*, dla siebie samych, nie narażając się. Ci sieją na tym gruncie, którego płodności nic nie tamuje, ową mnogość dzieci naturalnych, która wynosi 28 na 100 i która zapełnia później w czterech piątach przytulki, więzienia, lupanary i rusztowanie.

Zatem, czemu mężczyzna tak łatwo hańbi kobietę?

Dlatego, że nic nie chroni kobiety!

Czemu porzuca tak łatwo dziecko, które ma z kobietą?

Bo nic nie chroni dziecka.

Jaki jest nieodparty argument, który najbardziej upadła kobieta może dać na obronę swego upadku? Pierwszy mężczyzna. Przeciw temu to pierwszemu mężczyźnie trzeba zabezpieczyć kobietę. A więc, oto co bym proponował, aby zniszczyć tę wymówkę i aby istniała już tylko prostytutka dobrowolna, która nas nie obchodzi, bo każdy może robić ze swą osobą, co mu się spodoba, i ma się prawo skarżyć jedynie wtedy, kiedy się go zmusza do czynienia z niej użytku, który jest mu wstrętny i który go hańbi.

Pobór tedy dla kobiet, jak dla mężczyzn. Ponieważ kobieta ma wobec społeczeństwa obowiązki do spełnienia, w dniu, w którym żąda praw, trzeba, tak przez jej prawa jak przez jej obowiązki, zjednoczyć ją ze wspólnym działaniem.

Każda piętnastoletnia dziewczyna będzie obowiązana do stwierdzenia swej tożsamości, tak jak dwudziestoletni mężczyzna obowiązany jest do stwierdzenia swojej. W towarzystwie rodziców albo dwóch uprawnionych świadków udowodni, że ma jakieś środki do życia, albo w dochodzie albo w rzemiośle.

Ta, która ich nie ma, jeżeli umie jakieś rzemiosło, będzie miała prawo wykonywać je w zakładach państwowych, które będą koszarami pracy i nigdy nie będą kosztowały tyle co wojsko, bo będą coś przynosiły.

Jeżeli nie zna żadnego rzemiosła, wstąpi jako uczennica, zamiast wstąpić jako robotnica.

Jeżeli jest bogata i nie chce pracować, kupi sobie zastępczynię, która będzie pracowała za nią. Jeżeli nie ma środków i nie chce pracować, będzie pod dozorem policji i przy pierwszym większym wykroczeniu wyśle się ją do kolonii, gdzie zesłańcy potrzebują kobiet, a ziemia rąk. Skoro nie chcą być kobietami, będą samicami.

W odplatę tych obowiązków, oto jakie będą prawa dziewcząt niezamężnych. Mieszczą się w tym jednym paragrafie!

Prawo, uwłasnowalniając dwudziestojednoletniego mężczyznę, uznało go odpowiedzialnym: zatem, każdy dwudziestojednoletni mężczyzna, któremu dowiodą, że posiadał dziewczę, będzie obowiązany dać tej dziewczynie kapitał lub rentę wedle swego położenia majątkowego. Jeżeli nie może dać tego odszkodowania, podlega uwięzieniu na pięć lat. Jeśli uczynił tę dziewczynę matką i nie chce jej zaślubić, kara może sięgać dziesięciu lat, ile że fakt wydania dobrowolnie na świat swego bliźniego bez moralnej rękąmi wychowania ani środków materialnych jest wobec społeczeństwa występkiem cięższym niż nocna kradzież z włamaniem, równym zbrodni zabójstwa. Dać życie w pewnych warunkach jest nawet większym barbarzyństwem niż zadać śmierć.

Każde dziecko naturalne, którego ojciec zdoła umknąć się sprawiedliwości lub swoim obowiązkom, a które matka wychowa uczciwie jedynie własną pracą, wolne będzie od służby wojskowej, ile że społeczeństwo nie ma prawa pod żadnym pozorem zabierać kobiecie, która pracowała na nie, jej jedyne dziecko, w chwili gdy, stawszy się jej jedyną podporą, ma na nią pracować.

„Inaczej rzekłszy, dochodzenie ojcostwa?”

Nie inaczej.

„Ale hultajki będą uwodziły młodych ludzi, będą ich kompromiowały, wyzyskiwały etc., etc.”

W dwudziestym pierwszym roku mężczyzna jest wyborcą, gwardzistą narodowym i żołnierzem. Nie jest już dzieckiem, wie, co robi.

A wreszcie, niech uczciwe matki wychowują dobrze swoich synów, niech ojcowie strzegą ich lepiej!

A wreszcie, jeżeli mężczyzna jest płcią słabą, niech to wyzna i niech zostawi kobietom rząd państwem i wydawanie bitew!

„Ale podobne prawo jest niemożliwe we Francji”.

Czemu?

„Bo naród francuski jest lekkomyślny, kochliwy, romansowy, nieuległy, nieusłuchliwy etc., etc.”.

Prawa nie są po to, aby wspomagać namiętności ludzkie, ale aby je powściągać.

Zresztą, naród francuski nie jest wcale taki, jak mówicie. Jest to naród najbardziej uległy pod słońcem.

Wejdźcie na jakikolwiek dworzec kolejowy i przyjrzyjcie się, z jaką cierpliwością publiczność czeka na bilety przed wyjazdem, a na bagaże za powrotem, a uznacie, że ten niepodległy naród jest narodem najposłuszniejszym w świecie i że, przy pomocy policjanta, można z nim zrobić wszystko co się chce, a przy pomocy dwóch policjantów wszystko, czego on nie chce.

„Ale miłość jest namiętnością, a namiętność...”

Pieniądz też jest namiętnością, a głód jest więcej niż namiętnością, jest potrzebą; a jedzenie jest więcej niż potrzebą, jest prawem.

Mimo to, są codziennie tysiące zgłodniałych, które pracują zamiast rabować pieniądze z kantorów lub ściągają kotlety rzeźnikom, ponieważ istnieje prawo, które powiada, że przywłaszczać sobie pieniądze bez pracy, a kotlety bez pieniędzy, to znaczy kraść, a kradzież podlega karze.

W dniu, w którym społeczeństwo oświadczy, że cześć kobiety i życie dziecka to są wartości takie jak tuzin łyżek lub rulon złota, mężczyźni będą patrzyli na nie przez szybę,

nie śmiejąc ich ruszać i zdecydują się kupować je, a nie kraść. Zamiast hańbić dziewczyny, będą się z nimi żenili; zamiast czynić z nich ofiary, będą czynili z nich współniczki. Z miękkości praw rodzi się rozwiązłość obyczajów.

W jaki sposób mogliście stworzyć między dobrami materialnymi a czcią waszych córek, waszych sióstr i żon, *kobiety* wreszcie, tak wielką różnicę na niekorzyść kobiety?

Chyba jesteście ślepi, źli albo szaleni.

Przechodzę do konkluzji, sądzę że jest czas.

Każda dziewczyna przychodzi na świat dziewicą. Aby zniszczyć ten stan, trzeba interwencji mężczyzny. Skoro się raz to dziewictwo zniweczy inaczej niż w małżeństwie, zaczyna się dla niej hańba i nastęcza się prostytutka. Chroncie kobietę przed mężczyzną i chroncie ich następnie przed sobą wzajem. Wprowadźcie dochodzenie ojcostwa do miłości, a rozwód do małżeństwa.

„Och, och!...”

Moje sposoby są niewykonalne? Znajdźcie inne, zależy mi jedynie na wynikach; ale śpieszcie się, bo dom się pali.

Nie chcecie? Uważacie, że to może iść jakoś i że, byle się zajmować mężczyznami — którzy robiliby rewolucję, gdyby się nimi nie zajmować — wszystko idzie najlepiej na najlepszym z możliwych światów? *Va bene!* Bawmy się! Niech żyje miłość! Pozwólmy kobiecie robić to, co robi, a najdalej za pięćdziesiąt lat nasi siostrzeńcy (nie będzie się miało dzieci, będzie się miało tylko siostrzeńców) zobaczą, co zostanie z rodziny, z religii, z noty, z moralności i z małżeństwa w waszej pięknej Francji, której wszystkie miasta będą miały wielkie ulice, której wszystkie place będą miały skwery, a pośrodku jednego z nich będzie można wznieść posąg bezużytecznym Prawdom.

Grudzień 1867.

DAMA KAMELIOWA

OSOBY:

- Armand Duval
- Jerzy Duval, ojciec Armanda
- Gaston Rieux
- Saint-Gaudens
- Gustaw
- Hrabia de Giray
- Varville
- Doktor
- Artur
- Posłaniec
- Dwóch służących
- Małgorzata Gautier
- Mimi
- Prudencja
- Anna
- Olimpia
- Estera

- Anais
- Adela
- Goście

Rzecz dzieje się około roku 1848.

AKT I

Buduar Małgorzaty w Paryżu.

SCENA PIERWSZA

Anna pracuje. Varville siedzi przy kominku. Dzwonek.

VARVILLE

Ktoś dzwoni.

ANNA

Walenty otworzy.

VARVILLE

To pewnie Małgorzata.

ANNA

Jeszcze nie: ma wrócić dopiero koło wpół do jedenastej, a jest ledwo dziesiąta. *Wchodzi Mimi.* A! panna Mimi.

SCENA DRUGA

CIŻ — MIMI.

MIMI

Małgorzaty nie ma?

ANNA

Nie, proszę pani. Ma pani coś do niej?

MIMI

Przechodziłam koło domu, wpadłam, aby ją uściskać, ale skoro jej nie ma, uciekam.

ANNA

Niech pani chwilę zaczeka, zaraz wróci.

MIMI

Nie mam czasu. Gustaw jest na dole. Jak się miewa, dobrze?

ANNA

Zawsze jednak.

MIMI

Powiedz jej, że wpadnę w tych dniach. Do widzenia, Anno. Żegnam pana.

Kłania się i wychodzi.

SCENA TRZECIA

ANNA — VARVILLE.

VARVILLE

Kto to jest, ta panienka?

ANNA

To panna Mimi.

VARVILLE

Mimi? to imię kotki nie kobiety.

ANNA

Toteż to jest przydomek. Nazywają ją tak dlatego, że ze swoją fryzowaną główką podobna jest zupełnie do kotki. Była koleżanką pani w magazynie, gdzie pani pracowała dawniej.

VARVILLE

Małgorzata była w magazynie?

ANNA

Bielizniarką.

VARVILLE

A!

ANNA

Nie wiedział pan? Przecież to nie sekret.

VARVILLE

Ładna jest ta Mimi.

ANNA

I cnotliwa!

VARVILLE

A ten pan Gustaw?

ANNA

Jaki pan Gustaw?

VARVILLE

Ten, o którym mówiła i który czekał na dole?

ANNA

To jej mąż.

VARVILLE

Pan Mimi?

ANNA

Niby jeszcze nie mąż, ale będzie.

VARVILLE

Słowem, kochanek. Doskonale! Jest cnotliwa, ale ma kochanka.

ANNA

Który kocha tylko ją, tak jak ona kocha i kochała tylko jego, i ożeni się z nią, ja to panu powiadam. Mimi jest bardzo porządna dziewczyna.

VARVILLE

Wstając i podchodząc do Anny.

Ostatecznie, nic mi do tego. Stanowczo, moje sprawy tutaj nie posuwają się naprzód.

ANNA

Ani odrobiny.

VARVILLE

Trzeba przyznać, że Małgorzata...

ANNA

Co takiego?

VARVILLE

Ma dziwny pomysł, aby wszystkich poświęcać dla pana de Mauriac, który nie musi być bardzo zabawny...

ANNA

Biedny człowiek! To jego jedyne szczęście! Jest jej ojcem lub blisko tego...

VARVILLE

A, tak! To bardzo wzruszająca historia... Na nieszczęście...

ANNA

Co, na nieszczęście?

VARVILLE

Ja w nią nie wierzę...

ANNA

Wstając.

Niech pan posłucha, panie de Varville. Dużo można prawdziwych rzeczy opowiedzieć o mojej pani, tym bardziej więc nie ma powodu opowiadać tego, co nie jest prawdą. Otóż to mogę panu powiedzieć, co widziałam, na własne oczy widziałam. To pewne, że mnie pani nie wyuczyła lekcji, boć ona nie ma żadnego powodu pana oszukiwać; ani ją pan ziębi, ani grzeje... Zatem, przed dwoma laty, po długiej chorobie, pani udała się do wód dla dokończenia kuracji... Ja byłam z nią... Pomiędzy chorymi była tam w zakładzie młoda dama, mniej więcej w jej wieku, dotknięta tą samą chorobą, tylko w ostatnim stadium; a podobna była do niej jak bliźniaczka. Ta dama, to była panna de Mauriac, córka księcia.

VARVILLE

Panna de Mauriac zmarła.

ANNA

Tak.

VARVILLE

A księżę, zrozpaczony, odnajdując w Małgorzacie, w jej rysach, wieku, w jej chorobie nawet, obraz córki, błagał ją, aby mu pozwoliła bywać u siebie i kochać się jak własne dziecko. Wówczas Małgorzata wyznała mu swoje położenie.

ANNA

Bo pani nigdy nie kłamie...

VARVILLE

Oczywiście! Że zaś Małgorzata była podobna do panny de Mauriac tylko fizycznie, a nie moralnie, książe przyrzekł jej wszystko co zechce, jeśli się zgodzi odmienić życie. Małgorzata przyrzekła i oczywiście, wróciwszy do Paryża, nie dotrzymała; książe zaś, uważając, iż ona daje mu tylko pół szczęścia, obciął do połowy jej dochody, tak iż obecnie Małgorzata ma pięćdziesiąt tysięcy długów...

ANNA

Które pan chętnie by zapłacił... Ale pani woli raczej być dłużna innym pieniądze, niż panu wdzięczność.

VARVILLE

Zwłaszcza, że hrabia de Giray jest pod ręką.

ANNA

Nieznosny pan jest! Tyle tylko mogę panu powiedzieć, że historia z księciem jest prawdą, na to panu daję moje słowo. Co się tyczy hrabiego, to przyjaciel.

VARVILLE

Przyjaciel... Oczywiście...

ANNA

Tak, przyjaciel! Jaki pan ma zły język!... Dzwoni ktoś! To pani... Czy mam jej powtórzyć wszystko, co pan tu nagadał?

VARVILLE

Ani słowa!

SCENA CZWARTA

CIŻ — MAŁGORZATA.

MAŁGORZATA

Do Anny.

Powiedz, aby przygotowano kolację. Olimpia i Saint-Gaudens zaraz tu będą, spotkam ich w Operze. *Do Varvilla.* Pan tutaj?

VARVILLE

Siada przy kominku.

Czyż to nie mój los czekać na panią?

MAŁGORZATA

Czyż to mój los wciąż pana oglądać?...

VARVILLE

Póki mi pani nie wypowie domu, będę przychodził.

MAŁGORZATA

W istocie, ani razu nie zdarza mi się wrócić, aby pana tu nie zastać... Co mi pan jeszcze ma do powiedzenia?

VARVILLE

Wie pani dobrze...

MAŁGORZATA

Zawsze to samo... Monotonny pan jest!

VARVILLE

Czyż to moja wina, że panią kocham?

MAŁGORZATA

Też argument!... Drogi panie, gdybym miała słuchać wszystkich tych, którzy mnie kochają, nie miałabym kiedy zjeść obiadu... Po raz setny powtarzam panu, traci pan czas na próżno... Pozwalam panu tu przychodzić o każdej porze, wchodzić, kiedy jestem w domu, czekać na mnie, kiedy mnie nie ma, sama nie wiem czemu... ale jeżeli pan mi będzie wciąż mówił o swej miłości, pożegnamy się.

VARVILLE

Małgorzato! Wszak w zeszłym roku, w Bagnères, dała mi pani cień nadziei...

MAŁGORZATA

Ba, drogi panie, to było w Bagnères... Byłam chora, nudziłam się... Tutaj, to co innego; mam się lepiej i nie nudzę się...

VARVILLE

Pojmuję, że kiedy się ma księcia de Mauriac...

MAŁGORZATA

Dudek z pana!

VARVILLE

I kiedy się kocha pana de Giray...

MAŁGORZATA

Wolno mi kochać, kogo mi się podoba... to nikogo nie obchodzi, a pana mniej niż kogokolwiek. Jeżeli pan mi nie ma nic innego do powiedzenia, powtarzam, może mnie pan pożegnać... *Varville przechadza się.* Nie pójdzie pan?

VARVILLE

Nie!

MAŁGORZATA

Zatem niech pan siada do fortepianu... Fortepian to pańska jedyna dobra strona.

VARVILLE

Co mam grać?

Anna wchodzi, podczas gdy Varville preludiuje.

MAŁGORZATA

Co się panu podoba...

SCENA PIĄTA

CIŻ — ANNA.

MAŁGORZATA

Do Anny.

Mówiłaś o kolacji?

ANNA

Tak, proszę pani.

MAŁGORZATA

Zbliżając się do Varville'a.

Co pan tam gra?

VARVILLE

Marzenie Rosellena.

MAŁGORZATA

To bardzo ładne!...

VARVILLE

Słuchaj, Małgorzato, ja mam osiemdziesiąt tysięcy franków renty...

MAŁGORZATA

A ja sto tysięcy... *Do Anny.* Widziałaś Prudencję?

ANNA

Tak, proszę pani.

MAŁGORZATA

Będzie dziś wieczorem?

ANNA

Tak, proszę pani, ma wstąpić... Była też panna Mimi.

MAŁGORZATA

Czemu nie została?

ANNA

Pan Gustaw czekał na dole.

MAŁGORZATA

Złote stworzenie!

ANNA

Doktor był także.

MAŁGORZATA

Co powiedział?

ANNA

Żeby się pani nie męczyła...

MAŁGORZATA

Pocziwy doktor... To wszystko?

ANNA

Nie, proszę pani; przyniesiono jeszcze bukiet.

VARVILLE

Ode mnie.

MAŁGORZATA

Biorąc bukiet.

Róże i biały bez... Zabierz ten bukiet do swego pokoju, Anno.

Anna wychodzi.

VARVILLE

Przestaje grać.

Nie chce pani tych kwiatów?

MAŁGORZATA

Jak ja się nazywam?

VARVILLE

Małgorzata Gautier.

MAŁGORZATA

Jaki mi dano przydomek?

VARVILLE

Dama Kameliowa.

MAŁGORZATA

Czemu?

VARVILLE

Bo pani nosi zawsze tylko te kwiaty.

MAŁGORZATA

To znaczy, że tylko te lubię i że nie ma celu przysyłać mi innych... Jeżeli pan sądzi, że dla pana zrobię wyjątek, myli się pan! Nie znoszę pachnących kwiatów, choruję od nich.

VARVILLE

Nie mam szczęścia... Żegnam panią!

MAŁGORZATA

Żegnam.

SCENA SZÓSTA

CIŻ — OLIMPIA — SAINT-GAUDENS — ANNA.

ANNA

Wchodzi.

Przyszli panna Olimpia i pan Saint-Gaudens.

MAŁGORZATA

Chodźże, Olimpio! Myślałam, że już nie przyjdiesz!

OLIMPIA

To wina tego pana...

SAINT-GAUDENS

Zawsze moja wina! — Jak się masz, Varville!

VARVILLE

Jak się masz!

SAINT-GAUDENS

Zjesz z nami kolację?

MAŁGORZATA

Nie, nie!

SAINT-GAUDENS

Do Małgorzaty.

A piękne dziecię, jakże się miewa?

MAŁGORZATA

Wybornie!

SAINT-GAUDENS

To ślicznie! Będzie tu dziś zabawa?

OLIMPIA

Wszędzie jest zabawa, gdzie pan jest!

SAINT-GAUDENS

Niedobra! — Poczciwy Varville, ależ to bardzo przykre, że on nie zostaje na kolacji...
Do Małgorzaty. Przechodząc koło Maison d'Or, kazałem, aby przysłali ostryg, no i tego szampana, którego tam chowają tylko dla mnie... Wyborny! Wyborny!

OLIMPIA

Cicho do Małgorzaty.

Czemu nie zaprosiłaś Edmunda?

MAŁGORZATA

Czemuś go nie przyprowadziła?

OLIMPIA

A Saint-Gaudens?

MAŁGORZATA

Czy nie jest przyzwyczajony?

OLIMPIA

Jeszcze nie... W jego wieku tak trudno nabywa się przyzwyczajień, zwłaszcza do-
brych...

MAŁGORZATA

Wola Annę.

Kolacja musi być gotowa?

ANNA

Za pięć minut, proszę pani. Gdzie mam podać? Do jadalni?

MAŁGORZATA

Nie, tu, tu nam będzie lepiej... — No i cóż, Varville, pan jeszcze tutaj?

VARVILLE

Idę.

MAŁGORZATA

Wola przez okno.

Prudencjo!

OLIMPIA

Prudencja mieszka naprzeciwko?

MAŁGORZATA

Nawet w tym samym domu, okno w okno. Dzieli nas tylko mały dziedzińczyk, to
bardzo wygodnie, kiedy jej potrzebuję...

SAINT-GAUDENS

Co właściwie robi Prudencja?

OLIMPIA

Jest modniarką.

MAŁGORZATA

Ja jedna kupuję u niej kapelusze.

OLIMPIA

Których nigdy nie nosisz.

MAŁGORZATA

Bo są okropne! Ale to niezła kobieta, i potrzebuje pieniędzy. *Wola.* Prudencjo!

PRUDENCJA

Za sceną.

Jestem!

MAŁGORZATA

Czemu nie przychodzisz, skoro jesteś w domu?

PRUDENCJA

Nie mogę!

MAŁGORZATA

Czemu?

PRUDENCJA

Jest u mnie dwóch młodych ludzi, zaprosili mnie na kolację.

MAŁGORZATA

Więc przyprowadź ich tutaj... to na jedno wyjdzie. Jak się nazywają?

PRUDENCJA

Jednego znasz, Gaston Rieux.

MAŁGORZATA

Myszę, że znam! — A drugi?

PRUDENCJA

Drugi, to jego przyjaciel.

MAŁGORZATA

To wystarczy. Zatem przychodźcie prędko... Zimno jest dziś wieczór... *Kasze nieco.*
Varville, dorzuć trochę drewna do ognia, tu można zmarznąć... Bądź choć użyteczny, skoro nie możesz być przyjemny...

Varville spełnia rozkaz.

SCENA SIÓDMA

CIŻ — GASTON — ARMAND — PRUDENCJA — SŁUŻĄCY.

SŁUŻĄCY

Oznajmia.

Pan Gaston Rieux, pan Armand Duval, pani Duvernoy.

OLIMPIA

Cóż za szyk! Tak tu anonsują?

PRUDENCJA

Myślałam, że są goście.

SAINT-GAUDENS

Pani Duvernoy zaczyna swój ceremonial...

GASTON

Ceremonialnie do Małgorzaty.

Jak zdrowie pani?

MAŁGORZATA

Ceremonialnie.

Dziękuję, dobrze... A pańskie?

PRUDENCJA

Jak oni mówią do siebie!

MAŁGORZATA

Gaston zrobił się światowy... Zresztą, Eugenia wydrapałaby mi oczy, gdybyśmy do siebie mówili inaczej.

GASTON

Eugenia ma za małe ręce, a pani za duże oczy.

PRUDENCJA

Dosyć tych banialuk. — Droga Małgorzato, pozwól sobie przedstawić pana Armanda Duval... *Armand i Małgorzata kłaniają się. ...człowieka zakochanego w tobie po uszy!*

MAŁGORZATA

Do Prudencji.

Każ dodać dwa nakrycia, bo nie sądzę, aby ta miłość przeszkodziła panu zjeść kolację.

Podaje Armandowi rękę, którą ten całuje.

SAINT-GAUDENS

Do Gastona, który podszedł.

Kochany Gaston, jakiżem rad, że cię oglądam.

GASTON

Zawsze młody, ten stary Saint-Gaudens.

SAINT-GAUDENS

A tak.

GASTON

A serce?

SAINTS-GAUDENS

Pokazując Olimpię.

Jak widzisz.

GASTON

Winszuję.

SAINT-GAUDENS

Balem się straszliwie, że zastanę tu Amandę.

GASTON

Biedna Amanda! Ona pana bardzo kochała!

SAINT-GAUDENS

Za bardzo. No i był tam pewien młody człowiek, którego nie mogła się wyrzec: był bankierem. *Śmieje się.* Naraziłem ją na to, że mogła przeze mnie stracić los. Byłem kochankiem od serca! To cudowne! Ale trzeba było się chować po szafach, czatować na schodach, czekać na ulicy...

GASTON

Rozumiem, reumatyzmy.

SAINT-GAUDENS

Nie, ale czasy się zmieniają. Młodość musi się wyszumieć. Ten poczciwy Varville nie będzie dziś z nami, to mi straszliwie przykro.

GASTON

Podchodząc do Małgorzaty.

Wspaniały jest!

MAŁGORZATA

Jedynie starzy się już nie starzeją.

SAINT-GAUDENS

Do Armanda, którego Olimpia mu przedstawia.

Czy pan jest krewnym pana Duval, generalnego poborcy?

ARMAND

To mój ojciec. Pan go zna?

SAINT-GAUDENS

Spotykałem go niegdyś, u baronowej de Nersey, zarówno jak i pańską matkę. Piękna i urocza osoba.

ARMAND

Umarła przed trzema laty.

SAINT-GAUDENS

Przepraszam pana, żem odnowił pańską zgryzotę.

ARMAND

Zawsze chętnie wspominam moją matkę. Wielkie i czyste uczucia mają to do siebie, że samo ich wspomnienie jest szczęściem.

SAINT-GAUDENS

Jest pan jedynakiem?

ARMAND

Mam siostrę.

Rozmawiają przechadzając się w głębi.

MAŁGORZATA

Po cichu do Gastona.

Twój przyjaciel jest uroczy.

GASTON

Myślę. A przy tym zakochany w tobie do szaleństwa, nieprawdaż, Prudencjo?

PRUDENCJA

Co takiego?

GASTON

Powiadam Małgorzacie, że Armand za nią szaleje.

PRUDENCJA

Święta prawda; nie wyobrażasz sobie, do jakiego stopnia.

GASTON

Kocha cię tak, moja droga, że nie śmie ci tego powiedzieć.

MAŁGORZATA

Do Varville'a, który ciągle gra na fortepianie.

Przestań, Varville!

VARVILLE

Zawsze mi pani mówi, żeby grać...

MAŁGORZATA

Tak, kiedy jestem sama z panem, ale nie wtedy, kiedy mam gości!

OLIMPIA

Co wy tam szepczecie?

MAŁGORZATA

Słuchaj, to się dowiesz...

PRUDENCJA

Cicho.

I ta miłość trwa już od dwóch lat...

MAŁGORZATA

Bardzo sędziwa miłość...

PRUDENCJA

Wciąż przesiaduje u Gustawa i Mimi, aby słuchać o tobie.

GASTON

Kiedy byłaś chora rok temu, przed wyjazdem do Bagnères, przez te trzy miesiące, które przeleżałaś w łóżku, mówiono ci, że co dzień młody człowiek przychodził dowiadywać się o twoje zdrowie, nie wymieniając swego nazwiska.

MAŁGORZATA

Przypominam sobie...

GASTON

To on!

MAŁGORZATA

A, to było bardzo ładnie... *Wolając.* Panie Duval!

ARMAND

Pani?...

MAŁGORZATA

Czy pan wie, co mi tu opowiadają? Mówią, że, kiedy byłam chora, pan przychodził co dzień dowiadywać się o mnie...

ARMAND

Tak, pani...

MAŁGORZATA

Winna jestem panu co najmniej podziękowanie... Słyszysz, Varville? Ty byś się na to nie zdobył.

VARVILLE

Jeszcze nie ma roku, jak panią znam.

MAŁGORZATA

A pan mnie zna dopiero od pięciu minut... Zawsze mówisz głupstwa.

Wchodzi Anna, za nią służba wnosi stół.

PRUDENCJA

Siadajmy! Umieram z głodu.

VARVILLE

Do widzenia, Małgorzato!

MAŁGORZATA

Kiedyż pana ujrzę?

VARVILLE

Kiedy pani zechce...

MAŁGORZATA

Zatem żegnam...

VARVILLE

Kłaniając się i wychodząc.

Panowie...

OLIMPIA

Bądź zdrów, Varville; bądź zdrów, mój pocciwy.

Przez ten czas służba ustawiła nakryty stół, do którego siadają biesiadnicy.

SCENA ÓSMA

CIŻ, prócz VARVILLE'A.

PRUDENCJA

Moje dziecko, ty doprawdy za sroga jesteś dla barona.

MAŁGORZATA

Nudny jest! Ciągłe mnie częstuje swoją rentą.

OLIMPIA

I ty się skarżysz? Chciałabym, aby mnie poczęstował czymś w tym rodzaju!

SAINT-GAUDENS

Do Olimpii.

To bardzo miłe dla mnie, co mówisz!

OLIMPIA

Po pierwsze, drogi panie, proszę mnie nie tykać; nie znam pana!

MAŁGORZATA

Moje dzieci, bierzcie, jedzcie, pijcie, ale nie kłóćcie się więcej niż potrzeba, aby się natychmiast pogodzić.

OLIMPIA

Do Małgorzaty.

Czy wiesz, co on mi dał na imieniny?

MAŁGORZATA

Kto?

OLIMPIA

Saint-Gaudens.

MAŁGORZATA

Nie.

OLIMPIA

Dał mi powóz.

SAINT-GAUDENS

Od Bindera.

OLIMPIA

Ale nigdy nie mogłam doprosić się koni.

PRUDENCJA

Zawsze to powóz!

SAINT-GAUDENS

Jestem zrujnowany, kochaj mnie dla mnie samego!

OLIMPIA

Ładna kariera!

PRUDENCJA

Pokazując półmisek.

Co to za zwierzątko?

GASTON

Kuropatwy.

PRUDENCJA

Daj mi jedną.

GASTON

Tylko jedną? Ta ma ząbki! To może ona zrujnowała Saint-Gaudensa?

PRUDENCJA

Ona! Ona! Czy tak się mówi do kobiety? Za moich czasów...

GASTON

Oho, zacznij się o Ludwiku XV! — Małgorzato, każ Armandowi pić, smutny jest jak hulaszka piosenka.

MAŁGORZATA

No, panie Armandzie, za moje zdrowie!

WSZYSCY

Za zdrowie Małgorzaty!

Jedzenie

PRUDENCJA
A propos piosenki... może by co zaśpiewać?...

GASTON
Zawsze stare tradycje... Założyłbym się, że Prudencja miała romansik z Berangerem.

PRUDENCJA
Dobrze już, dobrze!

GASTON
Zawsze śpiewać przy kolacji, to nie ma sensu!

PRUDENCJA
Ja to lubię, to wesołe... No, Małgorzato, zaśpiewaj nam piosnkę Filogena... To taki poeta, który robi wiersze.

GASTON
A cóż ma robić?

PRUDENCJA
Ale on robi wiersze dla Małgorzaty: to jego specjalność... No, piosenkę!

GASTON
Protestuję imieniem całej generacji!

PRUDENCJA
Głosujmy! *Wszyscy podnoszą ręce z wyjątkiem Gastona.* Uchwalono piosenkę! Gastonie, daj dobry przykład mniejszościom!

GASTON
Niech będzie! Ale ja nie lubię wierszy Filogena... Znam je... Wolę raczej zaśpiewać, skoro tak trzeba...

Śpiewa.

GASTON
Siadając.

To prawda, że życie jest wesołe i że Prudencja jest tłusta!

OLIMPIA
I to już trwa od trzydziestu lat!

PRUDENCJA
Trzeba już skończyć z tym żartem! Ile ty myślisz, że ja mam lat?

OLIMPIA
Myślę, że dobrą czterdziestkę.

PRUDENCJA
Pyszna jest ze swoją czterdziestką! W zeszłym roku skończyłam trzydzieści pięć!

GASTON
To znaczy obecnie trzydzieści sześć! Ale nie wyglądasz na więcej niż trzydzieści, słowo honoru!

MAŁGORZATA
Słuchaj no, Saint-Gaudens, *à propos* wieku, opowiadano mi historyjkę o panu.

OLIMPIA
I mnie także.

SAINT-GAUDENS
Co za historyjkę?

MAŁGORZATA
Z żółtą dorożką.

OLIMPIA
To szczerą prawdą, moja droga...

PRUDENCJA
Opowiedzcie o żółtej dorożce!

GASTON
Dobrze, ale pozwólcie mi usiąść koło Małgorzaty, nudzę się przy Prudencji...

PRUDENCJA
Ślicznie wychowany chłopiec!

MAŁGORZATA
Gastonie, bądź łaskaw zachowywać się spokojnie...

SAINT-GAUDENS

Przemiała kolacja!

OLIMPIA

Oho! Już widzę, chce się wykręcić od historii z dorożką!

MAŁGORZATA

Żółtą!

SAINT-GAUDENS

Och, to mi wszystko jedno!

OLIMPIA

A więc, wyobraźcie sobie, że Saint-Gaudens był zakochany w Amandzie...

GASTON

Zanadto jestem wzruszony, muszę uściskać Małgorzatę!

OLIMPIA

Mój drogi, nieznośny jesteś.

GASTON

Olimpia jest wściekła, bo jej zepsułem efekt.

MAŁGORZATA

Olimpia ma rację. Gaston jest równie nudny jak Varville, posadzi się go przy małym stoliku, jak dzieci, kiedy są niegrzeczne.

OLIMPIA

Tak, niech pan tam idzie.

GASTON

Pod warunkiem, że na deser panie mnie pocałują.

MAŁGORZATA

Prudencja będzie kwestować i pocałuje pana za nas wszystkie.

GASTON

Nie, ja nie chcę, musicie mnie pocałować osobiście.

OLIMPIA

Dobrze, już dobrze, pocałujemy, niech pan siada tam i nic nie mówi. — Pewnego dnia albo raczej pewnego wieczora...

GASTON

Grając na fortepianie Malbrough.

Rozstrojony ten fortepian.

MAŁGORZATA

Nie odpowiadajmy mu.

GASTON

Nudzi mnie ta historia.

SAINT-GAUDENS

Gaston ma rację.

GASTON

A potem czego ona dowodzi, ta wasza historia, którą znam i która jest stara jak Prudencja... Dowodzi, że Saint-Gaudens szedł pieszo za żółtą dorożką, z której w jego oczach wysiadł Agenor pod bramą Amandy; dowodzi, że Amanda zdradzała Saint-Gaudensa. Jakie to nowe! Kogóż nie zdradzają! Wiadomo dobrze, jest się zawsze zdradzany przez przyjaciela i przez kochankę, i kończy się to zawsze o, na tę nutę...

Gra na fortepianie.

SAINT-GAUDENS

I równie dobrze wiedziałem, że Amanda zdradzała mnie z Agnorem, jak wiem, że Olimpia zdradza mnie z Edmundem.

MAŁGORZATA

Brawo, Saint-Gaudens! Ależ Saint-Gaudens to bohater! Rozkochamy się wszystkie w Saint-Gaudensie! Niechaj te, które się już kochają w Saint-Gaudensie, podniosą ręce. *Wszyscy podnoszą ręce.* Cóż za jednomyślność! Niech żyje Saint-Gaudens! Gastonie, zagraj nam coś, musimy zatańczyć z Saint-Gaudensem.

GASTON

Umiem tylko jedną polkę.

MAŁGORZATA

Niechże będzie polka! Dalej, Saint-Gaudens, Armandzie, usuńcie stół.

PRUDENCJA

Jeszcze nie skończyłam.

OLIMPIA

Panowie, Małgorzata powiedziała po prostu: „Armandzie”!

GASTON

Grając.

Śpieszcie się, bo nadchodzi miejsce, w którym się sypię.

OLIMPIA

Czy ja mam tańczyć z Saint-Gaudensem?

MAŁGORZATA

Nie, ja będę z nim tańczyła. Chodź, mój maleńki Saint-Gaudens, chodź.

OLIMPIA

Panie Armandzie, my z sobą.

Małgorzata tańczy chwilę i zatrzymuje się nagle.

SAINT-GAUDENS

Co pani?

MAŁGORZATA

Nic... Duszno mi trochę.

ARMAND

Podchodząc.

Pani cierpiąca?

MAŁGORZATA

Och, to nic... tańczmy dalej...

Gaston gra z calych sił. Małgorzata próbuje tańczyć i zatrzymuje się znowu..

ARMAND

Przestań. Gastonie!

PRUDENCJA

Małgorzata chora.

MAŁGORZATA

Tracąc oddech.

Dajcie mi szklankę wody.

PRUDENCJA

Co tobie?

MAŁGORZATA

Zawsze to samo... Ale to nic, powtarzam wam... przejdźcie do innego pokoju, wypalcie cygaro, za chwilę przyjdę do was.

PRUDENCJA

Zostawmy ją, ona woli być sama, kiedy się tak czuje.

MAŁGORZATA

Idźcie, ja zaraz przyjdę.

PRUDENCJA

Chodźcie! *Na stronie.* Nie ma sposobu zabawić się tutaj chwilę.

ARMAND

Biedactwo!

Wychodzi za innymi.

SCENA DZIEWIĄTA

MAŁGORZATA

Sama, usiłuje złapać oddech.

Ach! *Przygląda się sobie w lustrze.* Jaka ja blada... Ach...

Ujmuje głowę w ręce i opiera się łokciami na kominku.

SCENA DZIESIĄTA

MAŁGORZATA — ARMAND.

ARMAND

Wchodząc.

I co, jak pani jest, lepiej pani?

MAŁGORZATA

To pan, panie Armandzie?... Dziękuję, lepiej... Zresztą, jestem przyzwyczajona...

ARMAND

Pani się zabija! Chciałbym być pani przyjacielem, krewnym, aby pani nie pozwolić na to.

MAŁGORZATA

Nie udałoby się panu. No, niech pan tu przyjdzie! Ale co panu?

ARMAND

To co widzę...

MAŁGORZATA

O, pan jest bardzo dobry! Niech pan spojrzy na innych, czy się troszczą o mnie.

ARMAND

Inni nie kochają pani.

MAŁGORZATA

W istocie: zapomniałam o tej wielkiej miłości.

ARMAND

Pani się śmieje!

MAŁGORZATA

Niech Bóg zachowa! Słyszę co dzień jedno i to samo; już się z tego nie śmieję.

ARMAND

Niech i tak będzie: ale ta miłość zasługuje bodaj na jedno przyrzeczenie.

MAŁGORZATA

Jakie?

ARMAND

Że się pani będzie leczyć.

MAŁGORZATA

Leczyć się? Alboż to możliwe?

ARMAND

Czemu nie?

MAŁGORZATA

Bo gdybym się leczyła, umarłabym, drogi panie. Jedynie to gorączkowe życie podtrzymuje mnie. Ba! leczyć się, to dobre dla dam, które mają rodzinę i przyjaciół; ale my, skoro nie zdamy się na nic dla ludzkiej przyjemności albo próżności, świat nas opuszcza: dni, wieczory wloką się smutnie. Ja to znam, och, tak; przeleżałam dwa miesiące w łóżku; po trzech tygodniach żywa dusza nie zajrzała do mnie.

ARMAND

To prawda, ja jestem dla pani niczym, ale gdyby pani pozwoliła, pielęgnowałbym panią jak brat, nie opuszczałbym pani i musiałaby pani wyzdrowieć. Wówczas, gdyby pani miała siły, mogłaby pani wrócić do obecnego życia, o ile by to pani odpowiadało; ale jestem pewien, wolałaby pani wówczas spokojną egzystencję.

MAŁGORZATA

Wino nastraja pana lirycznie.

ARMAND

Więc pani nie ma serca, Małgorzato?

MAŁGORZATA

Serce! To jedyna rzecz, przez którą się idzie na dno w tej podróży, jaką ja odbywam.

Po chwili. Więc to serio?

ARMAND

Bardzo serio.

MAŁGORZATA
Prudencja mówiła tedy prawdę, kiedy nazywała pana sentymentalnym. Zatem pan by mnie pielęgnował?

ARMAND
Tak!

MAŁGORZATA
Siedziałby pan ze mną cały dzień?

ARMAND
Ile tylko bym pani nie znudził.

MAŁGORZATA
I pan to nazywa?...

ARMAND
Oddaniem.

MAŁGORZATA
A skąd się bierze to oddanie?

ARMAND
Z nieodpartej sympatii, jaką mam dla pani.

MAŁGORZATA
Odkąd?

ARMAND
Od dwóch lat, od dnia, kiedy ujrzałem panią piękną, dumną, uśmiechniętą. Od tego dnia szedłem z daleka i w milczeniu za pani życiem.

MAŁGORZATA
Czym się dzieje, że pan mi to mówi dopiero dzisiaj?

ARMAND
Nie znałem pani...

MAŁGORZATA
Trzeba było mnie poznać... A kiedy byłem chora i kiedy pan tak wytrwale zachodził po wiadomości, czemu pan nie przyszedł tutaj?

ARMAND
Jakim prawem?

MAŁGORZATA
Czyż robi się ceremonie z kobietą taką jak ja?

ARMAND
Zawsze robi się ceremonie z kobietą... A poza tym...

MAŁGORZATA
Poza tym?...

ARMAND
Bałem się wpływu, jaki pani mogła mieć na moje życie...

MAŁGORZATA
A, więc pan kocha się we mnie!

ARMAND
Patrząc na nią i widząc, że się śmieje.
Jeżeli mam to pani powiedzieć, to nie dziś.

MAŁGORZATA
Niech pan nie mówi nigdy!

ARMAND
Czemu?

MAŁGORZATA
Bo z tego wyznania mogą wynikać tylko dwie rzeczy... Albo w nie nie uwierzę i wówczas będzie pan miał żal do mnie, albo uwierzę i wówczas będzie pan miał smutne towarzystwo kobiety nerwowej, chorej, smutnej albo wesołej wesołością gorszą od smutku... Kobieta, która wydaje sto tysięcy franków rocznie, to dobre dla takiego starego bogacza jak książę, ale bardzo kłopotliwe dla młodego chłopca jak pan. Ale my mówimy dzieciństwo! Niech mi pan poda rękę i wracajmy do jadalni; nie powinni wiedzieć, co nasze zniknięcie znaczy.

ARMAND

Niech pani wraca, jeżeli pani chce... ja proszę, niech mi będzie wolno zostać tutaj...

MAŁGORZATA

Czemu?

ARMAND

Bo pani wesołość jest mi przykra...

MAŁGORZATA

Czy wolno dać panu radę?

ARMAND

Proszę...

MAŁGORZATA

Jeżeli to, co mi pan mówi, jest prawdą, niech pan bierze pocztę³ i ucieka stąd; albo niech mnie pan kocha jak dobry przyjaciel, ale tylko tak. Niech pan zachodzi do mnie, będziemy się śmiali, będziemy rozmawiali, ale niech mnie pan nie przecenia, bo ja nie jestem wiele warta... Pan ma dobre serce, potrzeba panu miłości... jest pan zbyt młody i zbyt wrażliwy, aby żyć w naszym świecie, niech pan pokocha inną, albo niech się pan ożeni... Widzi pan, ja jestem dobra kobietka i mówię z panem szczerze.

SCENA JEDENASTA

CIŻ — PRUDENCJA.

PRUDENCJA

Uchylając drzwi.

Cóż wy tutaj robicie?

MAŁGORZATA

Rozmawiamy bardzo rozsądnie: zostaw nas chwilę, przyjdziemy tam.

PRUDENCJA

Dobrze, dobrze, rozmawiajcie, moje dzieci...

SCENA DWUNASTA

MAŁGORZATA — ARMAND.

MAŁGORZATA

Zatem rzecz ułożona — już się pan nie kocha we mnie?

ARMAND

Posłucham pani rady i wyjadę.

MAŁGORZATA

To aż tak? do tego stopnia?

ARMAND

Tak.

MAŁGORZATA

Tylu ludzi mi to mówiło, a nie wyjechali...

ARMAND

Bo ich pani zatrzymała.

MAŁGORZATA

Ależ nie!

ARMAND

Więc pani nigdy nikogo nie kochała?

MAŁGORZATA

Nigdy, na szczęście!

ARMAND

Och, dziękuję pani!

MAŁGORZATA

Za co?

ARMAND

Za to, co mi pani powiedziała... nic nie mogło mi być miłsze.

MAŁGORZATA

Cóż za dzieciak!

³poczta — tu: konie pocztowe, dylizans. [przypis edytorski]

ARMAND
 Gdybym ci powiedział, Małgorzato, że spędzałem noce całe pod twymi oknami, że chowam pół roku guzik od twojej rękawiczki...

MAŁGORZATA
 Nie uwierzyłabym.

ARMAND
 Ma pani słuszność! Jestem szalony! Niech się pani śmieje ze mnie, to najlepsze... Żegnaj.

MAŁGORZATA
 Armandzie!

ARMAND
 Woła mnie pani?

MAŁGORZATA
 Nie chcę, aby pan odszedł zagniewany...

ARMAND
 Zagniewany na panią, czy to możliwe?...

MAŁGORZATA
 Niech mi pan powie, czy w tym wszystkim jest trochę prawdy?

ARMAND
 Pani pyta!

MAŁGORZATA
 A więc niech mi pan poda rękę i niech pan zajdzie do mnie czasem... często; pomówimy jeszcze...

ARMAND
 To nadto — a nie dosyć...

MAŁGORZATA
 Więc... niech pan sam ułoży sobie program; niech pan żąda, czego pan chce, skoro podobno ja panu coś jestem winna...

ARMAND
 Niech pani tak nie mówi! Nie trzeba się śmiać z rzeczy poważnych.

MAŁGORZATA
 Już się nie śmieję!

ARMAND
 Niech mi pani odpowie...

MAŁGORZATA
 Słucham...

ARMAND
 Chce pani, żeby ktoś panią kochał?

MAŁGORZATA
 To zależy. Kto?

ARMAND
 Ja.

MAŁGORZATA
 Dalej?

ARMAND
 Bym panią kochał miłością głęboką, wieczną?

MAŁGORZATA
 Wieczną?

ARMAND
 Tak.

MAŁGORZATA
 A jeśli panu uwierzę od razu, co pan powie o mnie?

ARMAND
Namiętnie.
 Powiem...

MAŁGORZATA

Powie pan to, co wszyscy... Mniejsza! Skoro mam życia krócej niż inni, trzeba mi żyć prędzej... Ale niech pan się nie boi: mimo że pańska miłość jest wieczna, a ja niewiele mam życia przed sobą, i tak jeszcze będę żyła dłużej, niż pan mnie będzie kochał!

ARMAND

Małgorzato!...

MAŁGORZATA

Teraz jest pan wzruszony... pański głos jest szczerzy... wierzysz w to co mówisz... wszystko to zasługuje na jakąś nagrodę... Niech pan weźmie ten kwiat...

Daje mu kamelię.

ARMAND

Co mam z nim zrobić?

MAŁGORZATA

Odniesie mi go pan...

ARMAND

Kiedy?

MAŁGORZATA

Kiedy zwiędnie.

ARMAND

A ile czasu trzeba na to?

MAŁGORZATA

Ba! Tyle, ile trzeba każdemu kwiatowi na to, aby zwiędł: jeden ranek lub jeden wieczór.

ARMAND

Och, Małgorzato, jakże jestem szczęśliwy!

MAŁGORZATA

Więc niech mi pan powie jeszcze, że mnie pan kocha.

ARMAND

Tak, kocham!

MAŁGORZATA

A teraz, niech pan idzie.

ARMAND

Oddalając się, wciąż zwrócony do niej.

Ide!

Wraca, całuje ją w rękę i wychodzi. Śpiewy i śmiechy za sceną.

SCENA TRZYNASTA

MAŁGORZATA — potem GASTON — SAINT-GAUDENS — OLIMPIA — PRUDENCJA.

MAŁGORZATA

Sama, patrząc na zamknięte drzwi.

Czemu nie?... Po co?... Moje życie ucieka i spala się między tymi dwoma słowami...

GASTON

Uchylając drzwi.

Chór wieśniaków! *Śpiewa.*

Szczęśliwy, szczęśliwy dzień,

Ścielmy im kwiaty pod stopy,

Niechaj hymenu pochodnie...

SAINT-GAUDENS

Niech żyją państwo Duval!

OLIMPIA

Zaczynamy ucztę weselną!

MAŁGORZATA

Potańczmy teraz, ja prowadzę!

SAINT-GAUDENS

Pysznie! Tak, to lubię!

Prudencja wkłada męski kapelusz, Gaston damski etc., etc. Tańczą.

AKT II

Gotownia Małgorzaty w Paryżu.

SCENA PIERWSZA

MAŁGORZATA — PRUDENCJA — ANNA.

MAŁGORZATA

Przy toalecie, do Prudencji, która wchodzi.

Jak się masz, kochanie... Widziałaś księcia?

PRUDENCJA

Owszem...

MAŁGORZATA

Dał ci?

PRUDENCJA

Wręczając Małgorzacie banknoty.

Masz... Czy możesz mi pożyczyć jakieś trzysta, czterysta franków?

MAŁGORZATA

Bierz... Powiedziałaś księciu, że mam zamiar wyjechać na wieś?

PRUDENCJA

Tak.

MAŁGORZATA

Co powiedział?

PRUDENCJA

Że masz słuszną i że ci to może tylko wyjść na zdrowie... I pojedziesz?

MAŁGORZATA

Mam nadzieję... Dziś właśnie oglądałam domek.

PRUDENCJA

Ile chcą komornego?

MAŁGORZATA

Cztery tysiące.

PRUDENCJA

Ależ ja widzę, że to miłość, moja droga!

MAŁGORZATA

Boję się, że tak! Może to namiętność, może tylko kaprys... Tyle wiem, że to coś!

PRUDENCJA

Był wczoraj?

MAŁGORZATA

Pytasz?

PRUDENCJA

I wraca dziś wieczór?

MAŁGORZATA

Zaraz przyjdzie.

PRUDENCJA

Wiem... Siedział u mnie kilka godzin...

MAŁGORZATA

Mówił o mnie?

PRUDENCJA

O czymże miał mówić?

MAŁGORZATA

Co mówił?

PRUDENCJA

Że cię kocha, oczywiście.

MAŁGORZATA

Dawno go znasz?

PRUDENCJA

Owszem...

MAŁGORZATA

Czy widziałaś go kiedy zakochanym?

PRUDENCJA

Nigdy.

MAŁGORZATA

Słowo?

PRUDENCJA

Słowo.

MAŁGORZATA

Gdybyś wiedziała, jakie on ma dobre serce, jak on mówi o matce i siostrze...

PRUDENCJA

Cóż za nieszczęście, że tacy ludzie nie mają stu tysięcy franków renty!

MAŁGORZATA

Przeciwnie. Co za szczęście! Przynajmniej są pewni, że to ich samych się kocha! *Biorąc rękę Prudencji i przykładając ją do piersi. Patrz!*

PRUDENCJA

Co?

MAŁGORZATA

Serce mi bije, nie czujesz?

PRUDENCJA

Czemu ci serce bije?

MAŁGORZATA

Bo jest dziesiąta i on ma przyjść...

PRUDENCJA

To aż do tego stopnia?... Uciekam... Słuchaj, to może zaraźliwe?

MAŁGORZATA

Do Anny, która się krząta po pokoju, porządkując.

Idź, otwórz, Anno...

ANNA

Nikt nie dzwonił.

MAŁGORZATA

Mówię ci, że tak!

SCENA DRUGA

PRUDENCJA — MAŁGORZATA.

PRUDENCJA

Moja droga, idę pomodlić się za ciebie...

MAŁGORZATA

Bo co?

PRUDENCJA

Bo jesteś w niebezpieczeństwie.

MAŁGORZATA

Może...

SCENA TRZECIA

CIŻ i ARMAND.

ARMAND

Małgorzato!

Biegnie ku niej.

PRUDENCJA

Nie witasz się ze mną, niewdzięczniku?

ARMAND

Daruj, droga Prudencjo... Jak się miewasz?

PRUDENCJA

Czas na mnie... Moje dzieci, zostawiam was, czeka ktoś u mnie... do widzenia!

Wychodzi.

SCENA CZWARTA

ARMAND — MAŁGORZATA.

MAŁGORZATA

Niechże pan siądzie tutaj...

ARMAND

Siadając u jej kolan.

A teraz?

MAŁGORZATA

Zawsze jednako kochasz?

ARMAND

Nie!

MAŁGORZATA

Jak to?

ARMAND

Tysiąc razy więcej!

MAŁGORZATA

Coś dziś robił?

ARMAND

Byłem u Prudencji, potem u Gustawa i Mimi... Byłem wszędzie, gdzie można było mówić o tobie.

MAŁGORZATA

A wieczór?

ARMAND

Ojciec mi pisał, że czeka mnie w Tours. Odpisałem, żeby nie czekał... Czy ja mam teraz czas na podróżę?

MAŁGORZATA

Ale nie trzeba, żebyś się poróżnił⁴ z ojcem!

ARMAND

Nie ma obawy... A ty, co robiłaś? Powiedz...

MAŁGORZATA

Mysłałam o tobie.

ARMAND

Naprawdę?

MAŁGORZATA

Naprawdę! Robiłam cudne projekty...

ARMAND

Doprawdy?

MAŁGORZATA

Tak.

ARMAND

Opowiedz!

MAŁGORZATA

Później.

ARMAND

Czemu nie zaraz?

MAŁGORZATA

Nie kochasz mnie może jeszcze dosyć... Opowiem ci, kiedy przyjdzie czas... Wiedz tylko, że zajmowałam się tobą.

ARMAND

Mną?

MAŁGORZATA

Tak, tobą, którego zanadto kocham.

ARMAND

No, powiedz, co to takiego?

⁴*poróżnić się* — pokłócić się. [przypis edytorski]

MAŁGORZATA

Po co?

ARMAND

Błagam!

MAŁGORZATA

Po krótkim wahanii.

Czy ja mogę co ukrywać przed tobą?

ARMAND

Słucham.

MAŁGORZATA

Obmyśliłam pewien plan...

ARMAND

Co za plan?

MAŁGORZATA

Mogę ci powiedzieć jedynie rezultat...

ARMAND

A co za rezultat?

MAŁGORZATA

Czy chciałbyś spędzić ze mną lato na wsi?

ARMAND

Pytasz?

MAŁGORZATA

A więc, jeśli mój plan się uda, a uda się na pewno, za dwa tygodnie będę wolna, nie będę miała żadnych długów i pojedziemy sobie razem na wieś.

ARMAND

I nie możesz mi powiedzieć, jakim sposobem?

MAŁGORZATA

Nie...

ARMAND

I to ty sama wymyśliłaś ten plan, Małgorzato?

MAŁGORZATA

Jak ty to mówisz!

ARMAND

Odpowiedz!

MAŁGORZATA

Więc tak, ja, ja sama!

ARMAND

I ty sama go wykonasz?

MAŁGORZATA

Z wahaniami.

Ja sama...

ARMAND

Wstając.

Czy ty czytałaś *Manon Lescaut*, Małgorzato?

MAŁGORZATA

Tak, leży w salonie.

ARMAND

Czy szanujesz kawalera des Grieux?

MAŁGORZATA

Czemu to pytanie?

ARMAND

Bo tam jest moment, w którym Manon ułożyła plan, mianowicie wziąć pieniądze od pana B... i wydać je z kawalerem... Małgorzato, ty masz więcej serca od niej, a ja jestem uczciwszy od niego!

MAŁGORZATA

A więc?

ARMAND
Więc jeżeli twój pomysł jest tego rodzaju... nie przyjmuję!

MAŁGORZATA
Doskonale, mój drogi... nie mówmy o tym więcej... *Pauza.* Ładnie jest dziś, prawda?

ARMAND
Bardzo ładnie.

MAŁGORZATA
Dużo było ludzi na Polach Elizejskich?

ARMAND
Dużo...

MAŁGORZATA
Mamy dziś pełnię, o ile mi się zdaje?

ARMAND
Porywczo.
Ech, co mi pełnia!

MAŁGORZATA
Więc o czym mam z tobą mówić? Kiedy ci mówię, że cię kocham, kiedy ci daję tego dowód, złościsz się! Zatem, mówię o pogodzie...

ARMAND
Cóż chcesz, Małgorzato?... Jestem zazdrosny o twoją najdrobniejszą myśl! To, coś mi proponowała przed chwilą...

MAŁGORZATA
Znów wracamy?

ARMAND
No tak, wracamy... Więc to, co mi proponowałaś, to dla mnie szczyt radości, ale tajemnica, która otacza ten plan...

MAŁGORZATA
Zastanówmy się trochę... Kochasz mnie i chciałbyś spędzić jakiś czas ze mną, daleko od tego okropnego Paryża?...

ARMAND
Och, tak!

MAŁGORZATA
I ja tego pragnę... Ale do tego celu trzeba czegoś... czego ja nie mam... Nie jesteś zazdrosny o księcia, wiesz, jak czyste uczucie wiąże go ze mną... Pozwól mi działać...

ARMAND
Jednakże...

MAŁGORZATA
Kocham cię! Więc zgoda?

ARMAND
Ale...

MAŁGORZATA
Przymiła się.
Zgoda... powiedz...

ARMAND
Jeszcze nie...

MAŁGORZATA
Zatem przyjdiesz do mnie jutro, pomówimy jeszcze...

ARMAND
Jak to jutro?... Już mnie wyprawiasz?

MAŁGORZATA
Ależ nie, możesz zostać jeszcze chwilę.

ARMAND
Jeszcze chwilę?... Oczekujesz kogoś?

MAŁGORZATA
Znowu zaczynasz?

ARMAND
Małgorzato, ty mnie oszukujesz!

MAŁGORZATA

Od jak dawna cię znam?

ARMAND

Od czterech dni...

MAŁGORZATA

Cóż by mnie zmuszało przyjmować cię?

ARMAND

Nic...

MAŁGORZATA

Gdybym cię nie kochała, czy miałabym prawo wyprosić cię za drzwi, tak jak to robię z Varvillem i z tyloma innymi?

ARMAND

Oczywiście!

MAŁGORZATA

Zatem, mój drogi chłopaku, pozwól mi kochać cię i nie narzekaj!

ARMAND

Przebacz! Tysiąc razy przepraszam!

MAŁGORZATA

Jeśli tak dalej pójdzie, całe życie będę ci przebaczać!

ARMAND

Nie, to już ostatni raz! O, już idę!

MAŁGORZATA

Doskonale! Przyjdź jutro w południe, zjemy razem śniadanie.

ARMAND

Więc do jutra.

MAŁGORZATA

Do jutra.

ARMAND

W południe?

MAŁGORZATA

W południe.

ARMAND

Przysięgasz mi?

MAŁGORZATA

Co?

ARMAND

Że nie oczekujesz nikogo?

MAŁGORZATA

Znowu! Przysięgam, że cię kocham i że kocham tylko ciebie.

ARMAND

Do widzenia!

MAŁGORZATA

Do widzenia, ty wielki dzieciaku!

Armand waha się chwilę i wychodzi.

SCENA PIĄTA

MAŁGORZATA

Sama, na tym samym miejscu.

Kto byłby mi powiedział jeszcze przed tygodniem, że ten człowiek, o którego istnieniu nie wiedziałam, do tego stopnia i tak szybko wypełni serce moje i myśli? Czy on mnie kocha zresztą? A ja czy go kocham, ja która nigdy nie kochałam? Ale po co wyrzekać się chwili radości? Czemu nie iść za kaprysem serca? Czym ja jestem? Igraszką losu! Niechże tedy los robi ze mną, co mu się podoba. Bądź co bądź, mam uczucie, że jestem szczęśliwsza, niż byłam kiedykolwiek. To może zła wróżba. My, kobiety, my przewidujemy zawsze, że ktoś nas pokocha, nigdy, że my pokochamy: tak, że za pierwszym atakiem tej nieprzewidzianej choroby, nie wiemy same, co się z nami dzieje.

SCENA SZÓSTA

MAŁGORZATA — ANNA.

ANNA

Oznajmiając hrabiego, który idzie za nią.

Pan hrabia!

MAŁGORZATA

Nie ruszając się.

Dobry wieczór, hrabio!

HRABIA

Catując ją w rękę.

Dobry wieczór, Małgorzato. Jak zdrowie dzisiaj?

MAŁGORZATA

Doskonale.

HRABIA

Siadając przy kominku.

Zimno dziś diabelnie! Pisałaś mi, abym przyszedł o wpół do jedenastej. Widzisz, że jestem punktualny.

MAŁGORZATA

Dziękuję. Mamy z sobą do pomówienia, drogi hrabio.

HRABIA

Czy jadłaś kolację?

MAŁGORZATA

Czemu?

HRABIA

Bo moglibyśmy iść na kolację i porozmawiać przy stole.

MAŁGORZATA

Głodny pan jest?

HRABIA

Zawsze się jest na tyle głodnym, aby móc zjeść kolację. Taki lichy był dziś obiad w klubie!

MAŁGORZATA

Co tam robili?

HRABIA

Grali, kiedy wszedłem.

MAŁGORZATA

Saint-Gaudens przegrywał?

HRABIA

Przegrał dwadzieścia pięć ludwików, a krzyczał za dwieście.

MAŁGORZATA

Był tu kiedyś na kolacji z Olimpią.

HRABIA

I kto jeszcze?

MAŁGORZATA

Gaston Rieux. Zna go pan?

HRABIA

Tak.

MAŁGORZATA

I Armand Duval.

HRABIA

Cóż to jest Armand Duval?

MAŁGORZATA

Przyjaciel Gastona. Poza tym Prudencja i ja, to już wszyscy. Weszło było.

HRABIA

Gdybym wiedział, byłbym zaszedł. Ale, ale, czy ktoś stąd wyszedł przed chwilą, tuż przed moim przybyciem?

MAŁGORZATA

Nie, nikt.

HRABIA

Bo w chwili gdy wysiadałem z powozu, ktoś podbiegł do mnie, jak gdyby chcąc zobaczyć, kto to taki, i przyjrzawszy mi się, odszedł.

MAŁGORZATA

Na stronie.

Byłżeby to Armand?

Dzwoni.

HRABIA

Potrzebujesz czego?

MAŁGORZATA

Tak. Mam powiedzieć słówko Annie. *Do Anny po cichu.* Zejdź na ulicę, rozejrzyj się nieznacznie, czy pan Duval tam jest i wróć mi powiedzieć.

ANNA

Słucham panią.

Wychodzi.

HRABIA

Jest nowina.

MAŁGORZATA

Jaka?

HRABIA

Gaguski się żeni.

MAŁGORZATA

Nasz polski książe?

HRABIA

Właśnie.

MAŁGORZATA

Z kim się żeni?

HRABIA

Zgadnij.

MAŁGORZATA

Skądże ja mogę wiedzieć.

HRABIA

Z Adelą.

MAŁGORZATA

Głupstwo robi Adela.

HRABIA

Przeciwnie, to raczej on...

MAŁGORZATA

Mój drogi hrabio, kiedy człowiek z towarzystwa żeni się z dziewczyną taką jak Adela, to nie on robi głupstwo, ale ona robi zły interes. Ten wasz Polak jest zrujnowany, ma fatalną opinię i jeżeli się ożeni z Adelą, to dla tych dwunastu czy piętnastu tysięcy franków renty, któreście jej wspólnymi siłami uskładali.

ANNA

Wracając, cicho do Małgorzaty.

Nie, pani, nie ma nikogo.

MAŁGORZATA

A teraz, drogi hrabio, mówmy o rzeczach poważnych.

HRABIA

O rzeczach poważnych! wołałbym o wesołych.

MAŁGORZATA

Przekonamy się później, czy bierzesz rzeczy wesołe.

HRABIA

Słucham.

MAŁGORZATA

Czy masz przy sobie pieniądze?

HRABIA
Ja? Nigdy.
MAŁGORZATA
Zatem trzeba będzie podpisać czek...
HRABIA
Któż tutaj potrzebuje pieniędzy?
MAŁGORZATA
Niestety! trzeba mi piętnastu tysięcy franków!
HRABIA
Tam do licha! ładny kawał grosza. Czemu właśnie piętnastu tysięcy?
MAŁGORZATA
Bo mam długi.
HRABIA
Ty płacisz długi?
MAŁGORZATA
Wierzyście moi życzą sobie tego.
HRABIA
Trzeba koniecznie?
MAŁGORZATA
Tak.
HRABIA
Więc... dobrze, podpiszę.

SCENA SIÓDMA

CIŻ i ANNA.

ANNA
Wchodzi.
Proszę pani, przyniesiono ten list. Kazano go pani oddać natychmiast.
MAŁGORZATA
Otwiera list.
Armand! Co to znaczy?
Czyta.

„Pani, nie mam ochoty odgrywać śmiesznej roli, nawet przy kobiecie, którą kocham. W chwili gdy wychodziłem od pani, wszedł hrabia de Giray. Nie mam ani lat, ani natury pana de Saint-Gaudens. Niech mi pani daruje moją jedyną winę, tę, że nie jestem milionerem; zapomnijmy oboje, żeśmy się znali i że przez chwilę zdawało się nam, że się kochamy. Kiedy pani otrzyma ten list, już mnie nie będzie w Paryżu.
Armand”.

ANNA
Czy będzie odpowiedź?
MAŁGORZATA
Nie, powiedz, że dobrze.
Anna wychodzi.

SCENA ÓSMA

HRABIA — MAŁGORZATA.

MAŁGORZATA
Do siebie.
Sen się skończył! Szkoda!
HRABIA
Co to za list?
MAŁGORZATA
Co za list? Dobra nowina dla pana.
HRABIA
Jak to?

MAŁGORZATA
 Zarabiasz na tym liście piętnaście tysięcy.

HRABIA
 To pierwszy list, który mi tyle przynosi.

MAŁGORZATA
 Już mi nie trzeba tego, o co pana prosiłam.

HRABIA
 Wierzyście pokwitowali rachunki? To bardzo ładnie z ich strony.

MAŁGORZATA
 Nie, byłam zakochana, drogi hrabio.

HRABIA
 Pani?

MAŁGORZATA
 Tak, ja.

HRABIA
 W kim, dobry Boże?

MAŁGORZATA
 W człowieku, który mnie nie kochał, jak bywa często; w człowieku bez majątku, jak bywa zawsze.

HRABIA
 A, tak, tymi miłostkami chcecie się oplukać po innych.

MAŁGORZATA
 I oto co mi pisze.
Daje hrabiemu list.

HRABIA
Czyta.
 „Droga Małgorzato...” A, to od pana Duval. Bardzo zazdrosny ten jegomość. A, rozumiesz teraz cel tego czeku. To bardzo ładne, co pani chciała urządzić.

Oddaje list.

MAŁGORZATA
Dzwoni i rzuca list na stół.
 Proponował mi pan kolację.

HRABIA
 I proponuję jeszcze. Nigdy nie zdołasz zjeść za piętnaście tysięcy franków. Zawsze to będzie oszczędność.

MAŁGORZATA
 A więc jedźmy, potrzebuję powietrza.

HRABIA
 Widzę, że to było poważne, jesteś tak podniecona...

MAŁGORZATA
 Och, to nic. *Do Anny, która wchodzi.* Daj mi szal i kapelusz.

ANNA
 Który, proszę pani?

MAŁGORZATA
 Kapelusz, który zechcesz, i szal lekki. *Do hrabiego.* Trzeba nas brać, tak jak jesteśmy, kochany hrabio.

HRABIA
 Och, ja jestem przyzwyczajony do tego wszystkiego.

ANNA
Dając szal.
 Pani będzie zimno.

MAŁGORZATA
 Nie.

ANNA
 Mam czekać na panią?

MAŁGORZATA
 Nie, połóż się, może wrócę późno... Idziesz, hrabio?

SCENA DZIEWIĄTA

ANNA

Sama.

Coś się tu dzieje: pani jest taka wzruszona, to ten list, co go przyniesiono przed chwilą, wprawił ją w taki stan. *Bierze list.* A, jest. Bagatela. Pan Duval wziął szybkie tempo. Mianowany przed dwoma dniami, dziś już w dymisji, żył ledwie tyle, ile żyje kwiat róży i kariera ministra... Oho! *Wchodzi Prudencja.* Pani Duvernoy.

SCENA DZIESIĄTA

ANNA — PRUDENCJA — później SŁUŻĄCY.

PRUDENCJA

Małgorzata wyszła?

ANNA

Przed chwilą.

PRUDENCJA

Dokąd poszła?

ANNA

Na kolację.

PRUDENCJA

Z panem de Giray?

ANNA

Tak.

PRUDENCJA

Czy dostała przed chwilą list?

ANNA

Od pana Armanda.

PRUDENCJA

Co powiedziała?

ANNA

Nic.

PRUDENCJA

A wróci kiedy?

ANNA

Pewnie późno. Myślałam, że pani Prudencja śpi już od dawna.

PRUDENCJA

Już spałam, kiedy mnie obudziło gwałtowne dzwonienie, poszłam otworzyć...

Pukanie do drzwi.

ANNA

Proszę.

SŁUŻĄCY

Pani prosi o futro: zimno jej jest.

PRUDENCJA

Jest na dole?

SŁUŻĄCY

Tak, w powozie.

PRUDENCJA

Poproś ją na chwilę, powiedz, że to ja proszę.

SŁUŻĄCY

Ale pani nie jest sama.

PRUDENCJA

To nic, poproś. *Służący wychodzi.* Prudencjo!

PRUDENCJA

Otwierając okno.

Masz tobie, teraz tamten się niecierpliwi! Och, ci zazdrośni kochankowie! Wszyscy jednacy!

ARMAND

Zza sceny.

I cóż?

PRUDENCJA

Czekajże pan trochę, u diabła! Za chwilę pana zawołam.

SCENA JEDENASTA

CIŻ — MAŁGORZATA — potem ANNA.

MAŁGORZATA

Czego chcesz, Prudencjo?

PRUDENCJA

Armand jest u mnie...

MAŁGORZATA

Co mnie to obchodzi?...

PRUDENCJA

Chce z tobą mówić.

MAŁGORZATA

A ja nie chcę go widzieć... Zresztą nie mogę... czekają na mnie... Powiedz mu to...

PRUDENCJA

Niech mnie Bóg broni! Wyzwałby hrabiego!

MAŁGORZATA

No i czegoż on chce?

PRUDENCJA

Czy ja wiem?... Czy on sam wie?... Ale my wiemy, co to jest zakochany!

ANNA

Z futrem w ręku.

Pani życzy sobie futro?

MAŁGORZATA

Nie, jeszcze nie...

PRUDENCJA

No i co?... Cóż postanowisz?

MAŁGORZATA

Ten chłopak mnie wpędzi w nieszczęście!

PRUDENCJA

Więc najlepiej nie widzieć go już więcej! Lepiej nawet, aby się w ten sposób skończyło.

MAŁGORZATA

Tak sądzisz? nieprawdaż?

PRUDENCJA

Oczywiście!

MAŁGORZATA

Po chwili.

Co ci jeszcze mówił?

PRUDENCJA

Ej, ty chcesz, aby przyszedł... Zawołam go... A hrabia?

MAŁGORZATA

Hrabia?... Zaczeka.

PRUDENCJA

Lepiej byłoby może odprawić go zupełnie...

MAŁGORZATA

Masz słuszność! *Do Anny.* Anno, zejdź, powiedz panu de Giray, że czuję się niezdrowa i że nie pójdę na kolację, niech mi wybaczy.

ANNA

Słucham panią.

Wychodzi.

PRUDENCJA

W oknie.

Armandzie! Chodź pan! Och! Nie trzeba mu tego dwa razy powtarzać.

MAŁGORZATA

Zostaniesz tu cały czas, póki on będzie.

PRUDENCJA

Nie, nie! Przyszłaby chwila, w której kazałabyś mi się wynosić, wolę iść od razu!

ANNA

Wraca.

Pan hrabia odjechał, proszę pani.

MAŁGORZATA

Czy nic nie mówił?

ANNA

Nie.

Wychodzi.

SCENA DWUNASTA

MAŁGORZATA — ARMAND — PRUDENCJA.

ARMAND

Wchodzi.

Małgorzato! Nareszcie!

PRUDENCJA

Moje dzieci, zostawiam was.

Wychodzi.

SCENA TRZYNASTA

MAŁGORZATA — ARMAND.

ARMAND

Przypadając do stóp Małgorzaty i klękając.

Małgorzato!

MAŁGORZATA

Czego pan żąda?

ARMAND

Żebyś mi przebaczyła...

MAŁGORZATA

Nie zasługujesz na to! *Gest Armanda.* Rozumiem, że możesz być zazdrosny i napisać do mnie list podrażniony, ale nie ironiczny i niegrzeczny... Zrobiłeś mi wielką przykrość i wiele złego.

ARMAND

A ty, Małgorzato, mnie?

MAŁGORZATA

Jeżeli ci zrobiłam, to mimo woli.

ARMAND

Kiedy ujrzałem hrabiego i powiedziałem sobie, że to dla niego mnie wyprawiłaś, byłem już oszalały, straciłem głowę, napisałem do ciebie... Ale kiedy ty, zamiast się usprawiedliwić, powiedziałaś Annie, że dobrze, zapytałem sam siebie, co się ze mną stanie, jeśli cię już nie ujrę. Nagle zrobiła się koło mnie pustka... Nie zapominaj, Małgorzato, że, choć cię znam ledwie od kilku dni, kocham cię od dwóch lat!

MAŁGORZATA

A więc, mój drogi, to było bardzo roztropne postanowienie...

ARMAND

Jakie?

MAŁGORZATA

Wyjechać. Czyż nie tak mi napisałeś?

ARMAND

Czyżbym mógł?...

MAŁGORZATA

A jednak trzeba...

ARMAND

Trzeba?

MAŁGORZATA

Tak, nie tylko dla ciebie, ale i dla mnie. Moje położenie każe mi rozstać się z tobą, a wszystko mi broni tej miłości...

ARMAND

Kochałaś mnie zatem trochę, Małgorzato?

MAŁGORZATA

Kochałam.

ARMAND

A teraz?

MAŁGORZATA

Teraz zastanowiłam się, że to, co sobie roiałam, jest niemożliwe!

ARMAND

Gdybyś mnie kochała, nie byłabyś przyjęła hrabiego zwłaszcza dziś wieczór.

MAŁGORZATA

Toteż lepiej, abyśmy dali temu pokój... Jestem ładna, podobałam ci się, jestem dobra dziewczyna, ty jesteś chłopiec rozgarnięty, trzeba było wziąć ze mnie to co dobre, zostawić to co złe i nie zajmować się resztą.

ARMAND

Nie tak mówiłaś do mnie niedawno, Małgorzato, kiedy obiecywałaś mi kilka miesięcy z tobą, z dala od Paryża, z dala od świata, i to właśnie że runąłem z tej nadziei w rzeczywistość, sprawiło mi taki ból.

MAŁGORZATA

Z melancholią.

To prawda... Powiedziałam sobie: trochę spoczynku dobrze by mi zrobiło... On trosz- czy się o moje zdrowie, gdyby tak można spędzić z nim lato, gdzieś w jakimś lesie, byłoby to parę dobrych chwil w tym smutnym życiu. Po trzech, czterech miesiącach wróciliby- śmy do Paryża, uścisknęlibyśmy sobie serdecznie ręce i skleciłibyśmy przyjaźń z resztek naszej miłości... To byłoby jeszcze wiele, bo miłość, jaką ktoś może czuć dla mnie, choć- by najgwałtowniejsza, nie zawsze starczy potem na trochę przyjaźni... Nie chciałaś! Twoje serce to strasznie wielki pan, nic nie chce przyjąć! Nie mówmy już o tym... Przychodzisz tu od czterech dni, byłeś u mnie na kolacji, przyslij mi jakiś klejnot z twoim biletem wizytowym i będziemy skwitowani...

ARMAND

Małgorzato, jesteś szalona! Ja cię kocham! To nie znaczy, że jesteś ładna i że mi się będziesz podobała przez kilka miesięcy... Ty jesteś całą mą nadzieją, moją myślą, moim życiem! Kocham cię po prostu... Cóż mam powiedzieć więcej?...

MAŁGORZATA

Zatem masz słuszność... lepiej żebyśmy zaraz się rozstali!

ARMAND

Naturalnie, bo ty mnie nie kochasz!

MAŁGORZATA

Bo... Ty nie wiesz, co mówisz!

ARMAND

Więc czemu?

MAŁGORZATA

Czemu? Chcesz wiedzieć? Bo są godziny, w których ten rozpoczęty sen snuję do koń- ca... bo są dni, w których jestem zmęczona życiem, jakie wiodę, i roję sobie inne... bo w naszej burzliwej egzystencji, nasza wyobraźnia, nasza próżność, nasze zmysły żyją, ale nasze serce wzbiera i, nie mogąc znaleźć upustu... dławi nas... Wyglądamy na szczęśli- we... zazdrozczą nam... W istocie, mamy kochanków, którzy się rujnują, nie tyle dla nas, jak to powiadają, ile dla swej próżności... Jesteśmy pierwsze w ich miłości własnej, ostatnie w ich szacunku... Mamy przyjaciół, przyjaciółki jak Prudencja, których przyjaźń bywa czasem służalcza, nigdy bezinteresowna... Mało je to obchodzi, co robimy, byleby je widziano w naszych łóżach, byleby mogły się rozpierać w naszych powozach. Tak więc, dokoła nas sama ruina, wstyd i kłamstwo! Marzyłam tedy chwilami... nie śmiejąc tego wyznać nikomu... o tym, aby spotkać człowieka dość górnice myślącego, aby mnie nie

pytał o nic i aby chciał być kochankiem mego kaprysu! Tego człowieka znalazłem w księciu, ale starość nie daje pociechy, ani oparcia... Dusza moja potrzebuje czego innego... Wówczas spotkałam ciebie, młodego, zapalonego, szczęśliwego... Łzy, które wylałeś dla mnie, twoja troska o moje zdrowie, twoje tajemnicze wizyty w czasie mej choroby, twoja szczerść, twój zapal, wszystko pozwalało mi widzieć w tobie tego, którego wzywałam w głębi mej gwarnej samotności... W jednej minucie, jak szalona, zbudowałam całą przyszłość na twojej miłości, marzyłam o wsi, o niewinności... przypomniałam sobie moje dzieciństwo... zawsze człowiek ma jakieś dzieciństwo, co bądź by się z nim potem stało — to marzenie było niepodobieństwem, jedno twoje słowo dowiodło mi tego... Chciałeś wiedzieć wszystko, wiesz wszystko!

ARMAND

I ty sądzisz, że po tych słowach cię opuszczę?... Kiedy szczęście puka do nas, mielibyśmy przed nim uciekać? Nie, Małgorzato! Nie! Marzenie twoje ziści się, przysięgam! Nie mędrkujmy, jesteśmy młodzi, kochamy się, idźmy za naszą miłością!

MAŁGORZATA

Nie zwódź mnie, Armandzie! Pomyśl, że gwałtowne wzruszenie może mnie zabić! Pamiętaj, kim jestem i czym jestem!

ARMAND

Jesteś aniołem i kocham cię!

ANNA

Puka do drzwi.

Proszę pani...

MAŁGORZATA

Co tam?

ANNA

Przyniesiono list.

MAŁGORZATA

Śmiejąc się.

Co za noc! Same listy!... Od kogo?

ANNA

Od pana hrabiego.

MAŁGORZATA

Czy ma być odpowiedź?

ANNA

Tak, proszę pani.

MAŁGORZATA

Rzucając się na szyję Armanda.

Więc powiedz, że nie ma żadnej!

AKT III

Auteuil. Salon w domu wiejskim. W głębi kominek, nad nim lustro. Po obu stronach kominka drzwi. Widok na ogród.

SCENA PIERWSZA

ANNA — PRUDENCJA — *potem ARMAND. ANNA sprząta po śniadaniu.*

PRUDENCJA

Wchodzi.

Gdzie Małgorzata?

ANNA

Pani jest w ogrodzie z panną Mimi i z panem Gustawem, którzy byli tu na śniadaniu i zostaną cały dzień.

PRUDENCJA

Idę do nich.

Anna wychodzi, wchodzi Armand.

ARMAND

Prudencjo, chcę z tobą pomówić... Przed dwoma tygodniami wyjechałaś stąd powozem Małgorzaty?

PRUDENCJA

W istocie...

ARMAND

Od tego czasu nie ujrzelśmy ani powozu, ani koni. Przed tygodniem, wychodząc, bałaś się rzekomo zimna i Małgorzata pożyczyła ci szal, którego nie odniosłaś... Wreszcie wczoraj dała ci bransolety i diamenty do naprawy, jak mówiła... Gdzie są konie, powóz, szal i diamenty?

PRUDENCJA

Mam być szczerą?

ARMAND

Błagam o to...

PRUDENCJA

Konie wróciły do kupca, który odkupił je za pół ceny.

ARMAND

Szal?

PRUDENCJA

Sprzedany...

ARMAND

Diamenty?

PRUDENCJA

Zastawiłam dziś rano... Przynoszę kwity.

ARMAND

I czemu mi nie powiedziałaś?

PRUDENCJA

Małgorzata nie chciała...

ARMAND

A po co te sprzedaże i te zastawy?

PRUDENCJA

Aby płacić!... Czy myślisz, mój chłopczyku, że wystarczy kochać się i żyć sobie z dala od Paryża, obyczajem pasterskim i eterycznym?... Wcale nie... Obok życia poetycznego jest życie realne. Książę, u którego byłam właśnie, bo pragnęłam, o ile możliwe, uniknąć tyłu ofiar, nie chce nic dać Małgorzacie, póki nie zerwie z tobą, a Bóg widzi, jak ona nie ma ochoty!...

ARMAND

Dobra Małgorzata!

PRUDENCJA

Tak, dobra Małgorzata!... Za dobra Małgorzata, bo kto wie, jak to się skończy?... Nie licząc, że, aby zapłacić resztę długów, chce oddać wszystko, co jej jeszcze zostało... Mam w kieszeni projekt sprzedaży, który mi wręczył pośrednik.

ARMAND

Ile potrzeba?

PRUDENCJA

Przynajmniej pięćdziesiąt tysięcy.

ARMAND

Poproś wierzycieli o dwa tygodnie zwłoki, za dwa tygodnie zapłacę wszystko.

PRUDENCJA

Pożycz pan?

ARMAND

Tak.

PRUDENCJA

Ładna historia! Poróżni się pan z ojcem, zrujnuje pan swą przyszłość.

ARMAND

Przeczuwałem, co się dzieje, napisałem do mego rejenta, że chcę na kogoś przelać majątek, jaki mam po matce, i w tej chwili otrzymałem odpowiedź: akt jest gotowy, chodzi tylko o parę formalności, dziś jeszcze mam się udać do Paryża, aby podpisać. Tymczasem powstrzymaj Małgorzatę, niech...

PRUDENCJA

Ale papiery, które przynoszę?

ARMAND

Kiedy ja pojedę, oddasz je jej tak, jakbym ci nic nie mówił. Nie trzeba, aby wiedziała o naszej rozmowie.

SCENA DRUGA

MAŁGORZATA — MIMI — GUSTAW — ARMAND — PRUDENCJA.

Małgorzata, wchodząc, kładzie palec na ustach, dając znak Prudencji, aby milczała.

ARMAND

Do Małgorzaty.

Drogie dziecko, połaj Prudencję.

MAŁGORZATA

Za co?

ARMAND

Prosiłem wczoraj, aby wstąpiła do mnie i przywiozła mi listy, jeżeli są jakie, bo już dwa tygodnie nie byłem w Paryżu... Nie miała nic pilniejszego do roboty, niż zapomnieć, tak że teraz muszę cię opuścić na parę godzin... Od miesiąca nie pisałem do ojca. Nikt nie wie, gdzie jestem, nawet mój służący, bo chciałem uniknąć natrętów. Jest ładnie, Mimi i Gustaw będą ci dotrzymywali towarzystwa... Siadam do powozu, wpadam do domu i wracam.

MAŁGORZATA

Jedź mój drogi, jedź; jeżeli nie pisałeś do ojca, to nie moja wina. Tyle razy ci mówiłam, abys napisał. Będziemy tu gawędzili i pracowali razem, z Gustawem i Mimi.

ARMAND

Za godzinę jestem z powrotem. *Małgorzata odprowadza go do drzwi, wracając mówi do Prudencji.* Czy wszystko ułożone?

PRUDENCJA

Tak.

MAŁGORZATA

Papiery?

PRUDENCJA

Oto są... Pośrednik przyjdzie za chwilę porozumieć się z tobą, ja idę coś przekąsić, bo umieram z głodu.

MAŁGORZATA

Idź, Anna ci poda.

SCENA TRZECIA

CIŻ — prócz ARMANDA I PRUDENCJI.

MAŁGORZATA

Do Mimi i Gustawa.

Widzicie, oto jak żyjemy od trzech miesięcy.

MIMI

Jesteś szczęśliwa?

MAŁGORZATA

Och, i jak!

MIMI

Mówiłam ci nieraz, Małgorzato; prawdziwe szczęście to spokój i serce... Ileż razy mówiliśmy sobie z Gustawem: kiedyż Małgorzata pokocha kogoś i zacznie wieść spokojniejsze życie?...

MAŁGORZATA

A więc wasze życzenie spełniło się... Kocham i jestem szczęśliwa... To wasza miłość i wasze szczęście sprawiło, że wam pozazdrościłam.

GUSTAW

To fakt, że my jesteśmy szczęśliwi, nieprawdaż, Mimi?

MIMI

Myslę sobie, i jak tanio! Ty jesteś wielka dama i nigdy nie zajdziesz do nas... Inaczej chciałabyś żyć zupełnie tak jak my. Myślisz, że tu żyjesz bardzo skromnie!... Cóż byś powiedziała, gdybyś widziała moje dwa małe pokoiki przy ulicy Blanche, na piątym piętrze, z oknami na ogrody, do których właściciele nie zachodzą nigdy! — Jakim cudem mogą istnieć ludzie, którzy, mając ogród, nie przechadzają się po nim?

GUSTAW

Wyglądamy na jakiś romans niemiecki albo na idyllę Goethego z muzyką Schuberta.

MIMI

Żartuj sobie, żartuj, dlatego, że Małgorzata słucha... Kiedy jesteśmy sami, nie żartujesz, jesteś łagodny jak baranek i czuły jak turkawka... Ty nie wiesz, on chciał, abym zmieniła mieszkanie... Nasze życie wydaje mu się zbyt skromne.

GUSTAW

Nie, tylko uważam, że mieszkamy za wysoko.

MIMI

Nie wychodź z domu, a nie będziesz wiedział, na którym piętrze mieszkasz.

MAŁGORZATA

Przemiała z was para.

MIMI

Pod pozorem, że ma sześć tysięcy franków renty, nie chce, żebym pracowała... Kiedyś może zechce kupić mi powóz.

GUSTAW

I to może przyjdzie.

MIMI

Mamy czas; trzeba najpierw, aby twój wuj zmienił swoje poglądy i aby ciebie uznał za swego spadkobiercę, a mnie za siostrzenicę.

GUSTAW

Zaczyna się przekonywać do ciebie.

MAŁGORZATA

Więc on cię nie zna? Gdyby cię znał, przepadałby za tobą.

MIMI

Nie, szanowny wujaszek nigdy nie raczył mnie odwiedzić. Jest jeszcze z pokolenia wujów, którzy uważają, że gryzетки rujnują siostrzeńców... Chciałby, aby Gustaw ożenił się z damą z towarzystwa... Cóż, kiedy dla Gustawa towarzystwo to ja!

GUSTAW

Oswoi się wujaszek... Zresztą, od czasu jak jestem adwokatem, jest już pobłażliwszy.

MIMI

A, prawda, zapomniałam ci powiedzieć: Gustaw jest adwokatem!

MAŁGORZATA

Powierzę mu moją obecną sprawę.

MIMI

Już bronil! Byłam na rozprawie.

MAŁGORZATA

Czy wygrał?

GUSTAW

Przegrałem z kretesem! Mego klienta skazano na dziesięć lat ciężkich robót.

MIMI

Na szczęście!

MAŁGORZATA

Czemu na szczęście?

MIMI

Bo był skończony łajdak. To ładny zawód być adwokatem! Zatem adwokat jest wielkim człowiekiem, kiedy może sobie powiedzieć: miałem w swoich rękach zbrodniarza, który zabił własnego ojca, matkę i dzieci... Otóż, mimo to, mam tyle talentu, iż sprawiłem, że go uniewinniono... Wróciłem społeczeństwu tę ozdobę, której mu brakowało.

MAŁGORZATA

Skoro jest adwokatem, pewnie będziemy mieli niedługo wesele?

GUSTAW

O ile się ożenię.

MIMI

Jak to, o ile się pan ożeni, szanowny panie? Ależ mam nadzieję, że pan się ożeni, i to ze mną! Nie znajdzie pan lepszej żony, i która by pana bardziej kochała.

MAŁGORZATA

Zatem kiedy?

MIMI

Niedługo.

MAŁGORZATA

Bardzo jesteś szczęśliwa!

MIMI

A ty czy nie skończysz tak jak my?...

MAŁGORZATA

Za kogóż mam wyjść?

MIMI

Za Armanda.

MAŁGORZATA

Za Armanda?... On ma prawo mnie kochać, ale nie żenić się ze mną. Wzięłam mu serce, ale nie wezmę mu nigdy nazwiska. Są rzeczy, których kobieta nie wymaże nigdy ze swego życia, widzisz, Mimi, i nie powinna dopuścić do tego, aby je mąż mógł jej wyrzucić. Gdybym chciała, aby Armand się ze mną ożenił, ożeniłby się jutro, ale zanadto go kocham, aby żądać od niego takiego poświęcenia... Panie Gustawie, czy mam słuszność?

GUSTAW

Porządna z ciebie dziewczyna, Małgorzato.

MAŁGORZATA

Nie, ale myślę jak porządny człowiek. To już coś... Jestem szczęśliwa szczęściem, o jakim nigdy nie marzyłam... Dziękuję za nie Bogu i nie chcę kusić Opatrzności.

MIMI

Gustaw wsiada na wielkiego konia... On sam ożeniłby się z tobą, gdyby był na miejscu Armanda... Nieprawdaż, Gustawie?

GUSTAW

Może... Zresztą dziewictwo kobiety należy do jej pierwszej miłości, nie do pierwszego kochanka.

MIMI

Chyba, że pierwszy kochanek był zarazem pierwszą miłością! Bywają takie przykłady...

GUSTAW

Ściskając jej rękę.

I niedaleko, prawda?

MIMI

Do Małgorzaty.

Zresztą, byłeś była szczęśliwa, mniejsza o resztę!

MAŁGORZATA

Jestem szczęśliwa... Ale kto byłby mi powiedział, że kiedyś ja, Małgorzata Gautier, będę żyła całą miłością jednego człowieka, że będę spędzała całe dni siedząc koło niego, pracując, czytając, słuchając go...

MIMI

Jak my...

MAŁGORZATA

Mogę z wami mówić otwarcie, wy mi uwierzycie, bo wy słuchacie sercem... Chwilami zapominam, czym byłam i to „ja” dawniejsze tak się oddziela od „ja” dzisiejszego, że powstają z tego dwie zupełnie odrębne kobiety i druga z nich zaledwie sobie przypomina pierwszą... Kiedy, ubrana w białą sukienkę, w wielkim słomkowym kapeluszu, z futerkiem na ramieniu na wypadek wieczornego chłodu, siadam z Armandem do łódki, którą puszczamy swobodnie z biegiem wody i która zatrzymuje się sama pod wierzbami pobliskiej wysepki, nikt nie podejrzewa, nawet ja sama, że ten biały cień to Małgorzata Gautier. Wydałam na bukiety więcej pieniędzy, niżby trzeba, aby wyżywić przez rok uczciwą rodzinę, i oto ten kwiatek, który mi Armand dał dziś rano, wystarcza teraz, aby przepoić wonią cały mój dzień. Zresztą, wiecie dobrze, co to jest kochać: jak godziny biegną same, jak nas niosą, unosząc z sobą tygodnie, miesiące, bez wstrząśnień i bez zmęczenia. Jestem bardzo szczęśliwa, ale chcę być jeszcze szczęśliwsza, nie wiecie wszystkiego...

MIMI

Czego?

MAŁGORZATA

Mówiliście mi przed chwilą, że ja nie żyję tak jak wy: nie długo będziecie mi to mówili.

MIMI

Jak to?

MAŁGORZATA

Armand niczego się nie domyśla: kazałam sprzedać wszystko, co posiadam w Paryżu, cały swój apartament, do którego nie chcę nawet wracać. Spłaciłam wszystkie długi, wynajmę mieszkancko niedaleko was, umebluję je bardzo skromnie i będziemy tak żyli, zapominając o wszystkim i przez wszystkich zapomniani. W lecie będziemy mieszkali na wsi, ale skromniej niż tu. Gdzież są ludzie, którzy pytają, co to jest szczęście? Wyście mnie tego nauczyli, a teraz ja mogę ludzi uczyć, skoro zechcą.

ANNA

Proszę pani, jakiś pan pragnie z panią mówić.

MAŁGORZATA

Do Mimi i Gustawa.

To pewnie pośrednik, którego oczekuję. Idźcie do ogrodu, przyjdę do was. Pojadę z wami do Paryża... wszystko zakończymy razem. *Do Anny.* Wprowadź.

Małgorzata, dawszy ostatni znak Gustawowi i Mimi, którzy wychodzą, zbliża się do drzwi, przez które wchodzi pan Duval.

SCENA CZWARTA

PAN DUVAL — MAŁGORZATA — potem ANNA.

PAN DUVAL

W progu.

Czy panna Małgorzata Gautier?

MAŁGORZATA

Tak, panie. Z kim mam zaszczyt?

PAN DUVAL

Nazywam się Duval.

MAŁGORZATA

Duval!

PAN DUVAL

Tak, pani, ojciec Armanda.

MAŁGORZATA

Zmieszana.

Armanda nie ma tutaj.

PAN DUVAL

Wiem o tym... toteż z panią samą chciałem mówić. Niech pani zechce wysłuchać. Mój syn kompromituje się i rujnuje dla pani.

MAŁGORZATA

Pan się myli, proszę pana. Nikt już, dzięki Bogu, nie interesuje się mną, a ja nie przyjmuję nic od Armanda.

PAN DUVAL

To znaczy — ponieważ pani zbytek i wydatki są znane — to znaczy, że mój syn jest na tyle nikczemny, aby trwonić z panią to, co pani przyjmuje od innych.

MAŁGORZATA

Daruję pan! ale jestem kobietą i jestem u siebie w domu — te dwie przyczyny powinny dostatecznie zapewnić mi prawo do pańskiej grzeczności. Ton, jakim pan do mnie przemawia, nie jest tonem człowieka dobrze wychowanego, którego mam zaszczyt widzieć po raz pierwszy: zatem...

PAN DUVAL

Zatem?

MAŁGORZATA

Poproszę pana, abys mi się pozwolił oddalić, bardziej jeszcze przez wzgląd na pana niż na mnie.

PAN DUVAL

W istocie, kiedy się słyszy ten styl, kiedy się widzi te maniery, z trudnością przychodzi pamiętać, że styl jest pożyczony a maniery przybrane. Dobrze mi mówiono, że pani jest niebezpieczną osobą.

MAŁGORZATA

Tak, panie, niebezpieczną, ale dla siebie, nie dla innych.

PAN DUVAL

Niebezpieczna czy nie, niemniej faktem jest, moja panno, że Armand rujnuje się dla pani.

MAŁGORZATA

Powtarzam panu, z całym szacunkiem, jaki jestem winna ojcu Armanda, powtarzam, że pan się myli.

PAN DUVAL

Zatem, co znaczy ten list rejenta, który mnie ostrzegł, że Armand chce przelać na panią swą rentę?

MAŁGORZATA

Upewniam pana, że jeżeli Armand to zrobił, zrobił to bez mej wiedzy: wiedział dobrze, że, gdyby mi to ofiarował, byłabym odmówiła.

PAN DUVAL

Jednak nie zawsze mówiła pani w ten sposób.

MAŁGORZATA

To prawda, ale wówczas nie kochałam.

PAN DUVAL

A teraz?

MAŁGORZATA

A teraz kocham najczystszy uczuciem, jakie kobieta może znaleźć w swoim sercu, kiedy Bóg ulituje się nad nią i ześle jej skruczę.

PAN DUVAL

A, frazesy.

MAŁGORZATA

Niech pan posłucha... Mój Boże, ja wiem, że przysięgom kobiet takich jak ja nie wierzy się zbyt, ale przysięgam na wszystko, co mam najdroższego w świecie, na moją miłość do Armanda, że nie wiedziałam o tej darowiźnie.

PAN DUVAL

Jednakże, proszę pani, musi pani przecież z czegoś żyć.

MAŁGORZATA

Zmusza mnie pan do powiedzenia tego, co chciałam zamilczeć: że jednak przede wszystkim zależy mi na szacunku ojca Armanda, powiem. Od czasu jak znam pańskiego syna, nie chcąc, aby moja miłość była bodaj przez chwilę podobna do tego, co dotąd w moim świecie nazywano tym mianem, zastawiłam lub sprzedawałam kaszmiry, diamenty, klejnoty, powozy... Kiedy przed chwilą powiedziano mi, że ktoś się chce ze mną widzieć, myślałam, że to handlarz, któremu sprzedaję meble, obrazy, dywany, resztę zbytku, który mi pan wyrzuca... Wreszcie, jeżeli pan wątpi o moich słowach — o, nie oczekiwałam pana, nie może pan tedy przypuszczać, że ten akt przygotowany jest na pańską intencję, a jeżeli pan wątpi, proszę, niech pan czyta.

Pokazuje mu akt sprzedaży, który oddała jej Prudencja.

PAN DUVAL

Czyta.

Sprzedaż ruchomości z obowiązkiem włożonym na nabywcę, aby spłacił wierzycieli i wręczył pani nadwyżkę. *Patrząc na nią ze zdziwieniem. Czyżbym się omylił?...*

MAŁGORZATA

Tak panie, omylił się pan lub raczej pana zmylono... Tak, byłam szalona; tak, mam smutną przeszłość; aby ją zmazać, od czasu jak kocham, oddałabym ostatnią kroplę krwi... Och, co bądź panu powiedziano, ja mam serce, wierz mi pan, ja jestem dobra... zobaczy pan, kiedy mnie pan lepiej pozna... To Armand mnie przeobraził!... On mnie pokochał, on mnie kocha! Pan jest jego ojcem, musi pan być dobry jak on!... Błagam pana, niech pan nie mówi źle o mnie... On by ci uwierzył, bo cię kocha, a ja pana poważam i kocham, bo pan jest jego ojcem!

PAN DUVAL

Przepraszam panią. Źle się zachowałem przed chwilą, nie znałem pani, nie mogłem zgadnąć wszystkiego, co w pani odkrywam... Przybyłem tu podrażniony milczeniem syna i jego niewdzięcznością, o które oskarżałem ciebie... Przepraszam panią.

MAŁGORZATA

Dziękuję panu za te dobre słowa...

PAN DUVAL

Toteż, w imię tych twoich szlachetnych uczuć, poproszę panią, abyś dała Armandowi najwyższy dowód miłości, jaki mu dać możesz!

MAŁGORZATA

Och, panie, niech pan nie mówi, błagam!... Pan zażąda ode mnie czegoś strasliwego, tym strasliwszego, że zawsze to przeczuwałam... Musiał pan przybyć... Byłam zanadto szczęśliwa!...

PAN DUVAL

Nie gniewam się już, rozmawiamy jak dwa uczciwe serca, ożywione tym samym uczuciem i żadne oba — nieprawdaż? — dowieść tej miłości istocie, która nam jest droga...

MAŁGORZATA

Tak, tak, panie! Tak!

PAN DUVAL

Dusza twoja posiada szlachetność, obcą wielu kobietom... Toteż mówię do pani, Małgorzato, jak ojciec... jak ojciec, który przychodzi cię błagać o szczęście swoich dwojga dzieci...

MAŁGORZATA

Dwojga dzieci?

PAN DUVAL

Tak, Małgorzato, dwojga dzieci... Mam córkę, młodą, piękną i czystą jak anioł... Kocha pewnego młodzieńca. I ona także czyni z tej miłości nadzieję swego życia, ale ona ma prawo do tej miłości... Mam ją wydać za mąż, pisałem to Armandowi, ale Armand,

Miłość, Kobieta,
Mężczyzna, Obyczaj

cały pogrążony w tobie, nawet nie odebrał moich listów... Mógłbym umrzeć, a on by się o tym nie dowiedział... Otóż, moja Blanka, moje ukochane dziecko, ma wyjść za porządnego człowieka, wchodzi do uczciwej rodziny, która żąda, aby wszystko było też uczciwe w mojej... Świat ma swoje wymagania, zwłaszcza na prowincji... Choćby uczucie, jakie cię przepelnia, oczyściło cię zupełnie w oczach Armanda, nawet w moich, nigdy nie oczyścisz się w oczach świata... zawsze będzie widział w tobie tylko twoją przeszłość i zamknie ci bez litości drzwi... Rodzina człowieka, który ma zostać moim zięciem, dowiedziała się o życiu Armanda; oświadczyła mi, że cofnie słowo, jeżeli Armand będzie dalej żył w ten sposób. Przyszłość młodej dziewczyny, która ci nie zrobiła nic złego, może być złamana przez ciebie, Małgorzato. W imię twojej miłości, błagam cię o szczęście córki.

MAŁGORZATA

Jaki pan jest dobry, że pan raczy przemawiać do mnie w ten sposób: czyż mogłabym zostać głucha na tak zacne słowa? Tak, rozumiem pana, ma pan słusność. Wyjadę z Paryża. Oddalę się od Armanda na jakiś czas. To będzie bolesne, ale zrobię to dla pana, żeby pan nie mógł mi nic wyrzucić... Zresztą, radość powrotu pozwoli zapomnieć o bólu rozłąki. Pozwoli pan, aby do mnie pisał czasami, a kiedy siostra jego wyjdzie za mąż...

PAN DUVAL

Dzięki, Małgorzato, dzięki, ale ja o co innego proszę.

MAŁGORZATA

O co innego! I czego pan może żądać więcej?

PAN DUVAL

Posłuchaj mnie, moje dziecko, i mówmy szczerze. Chwilowe rozłączenie nie wystarczy.

MAŁGORZATA

Chce pan, abym się rozstała z Armandem zupełnie?

PAN DUVAL

Tak trzeba!

MAŁGORZATA

Nigdy!... Pan nie wie chyba, jak my się kochamy? Pan nie wie, że ja nie mam ani przyjaciół, ani krewnych, ani rodziny; że, przebacząc mi, on przyrzekł mi być tym wszystkim i że ja zamknęłam w jego życiu moje? Nie wie pan wreszcie, że ja jestem dotknięta śmiertelną chorobą, że mam tylko kilka lat życia? Opuścić Armanda, to tyle co zabić mnie od razu.

PAN DUVAL

No, no, spokojnie, nie przesadzajmy... Jesteś młoda, jesteś piękna, bierzesz za chorobę trochę znużenia burzliwym życiem: nie umrzesz z pewnością przed wiekiem, w którym śmierć jest błogosławieństwem. Żądam od ciebie olbrzymiego poświęcenia, wiem o tym, ale musisz je dla mnie uczynić. Posłuchaj mnie. Znasz Armanda od trzech miesięcy i kochasz go! Ale czy miłość tak młoda ma prawo łamać całą przyszłość? a wszak ty całą przyszłość mego syna łamiesz, wiążąc go do siebie! Czy jesteś pewna trwania tej miłości? Czyś się już nie omyliła kiedy? A gdybyś nagle — za późno — miała spostrzec, że ty nie kochasz mego syna, gdybyś miała pokochać innego? Przebac mi, ale przeszłość daje prawo do takich przypuszczeń.

MAŁGORZATA

Nigdy nie kochałam i nie będę kochała, tak jak kocham.

PAN DUVAL

Niech i tak będzie. Ale jeżeli ty się nie mylisz, to może on się myli. W jego wieku, czyż serce może wiązać się na stałe? Czyż serce nie zmienia ustawicznie swoich uczuć? To samo serce, które w synu kocha ponad wszystko rodziców, które w mężu ponad rodziców kocha żonę, które później w ojcu kocha dzieci bardziej niż rodziców, żonę i kochanki. Natura jest wymagająca, ponieważ jest rozrzutna. Możliwe jest tedy, że się mylicie oboje. Oto prawdopodobieństwa. A teraz czy chcesz widzieć fakty i pewniki? Słucha mnie pani, nieprawdaż?

MAŁGORZATA

Czy słucham, dobry Boże!

PAN DUVAL

Jest pani gotowa poświęcić wszystko dla mego syna, ale gdyby on przyjął twoją ofiarę, jakimż on poświęceniem zdoła ci to odplacić? Zabierze ci twoje piękne lata, a potem, kiedy przyjdzie przesyt — bo przyjdzie — cóż się stanie? Albo okaże się człowiekiem lichym i wówczas, rzucając ci w twarz twoją przeszłość, opuści cię, oświadczając, iż czyni tylko tak jak inni: albo też będzie uczciwym człowiekiem, ożeni się z tobą lub przynajmniej zatrzyma cię przy sobie. Ten związek, czy to małżeństwo, którego podstawą nie będzie czystość, którego podporą nie będzie religia, ani owocem rodzina, ta rzecz może do usprawiedliwienia u młodego chłopca, czym będzie u człowieka dojrzałego! Jaka ambicja będzie mu dostępna?... Jaki zawód otwarty?... Jakąż pociechę będę miał z syna, poświęciwszy dwadzieścia lat dla jego szczęścia?... Wasz związek nie jest owocem dwóch czystych sympatii, połączeniem dwóch niewinnych serc! To namiętność na wskroś ziemską i ludzką, zrodzona z kaprysu i zachcianki! Cóż z niej zostanie, kiedy postarzejecie się oboje?... Kto ci zaręczy, czy pierwsza zmarszczka na twym czole nie zdejmie przepaski z jego oczu, że złudzenia jego nie rozwieją się z twą młodością?

MAŁGORZATA

Och! Rzeczywistość!

PAN DUVAL

Czy widzisz waszą wspólną starość, podwójnie samotną, podwójnie opuszczoną, podwójnie jałową? Jakie wspomnienie zostawicie?... Co użytecznego spełnicie? Wasze drogi są zupełnie różne, przypadek złączył je na chwilę, ale rozsądek rozdzieli je na zawsze! W życiu, które stworzyłaś sobie dobrowolnie, nie mogłaś przewidzieć tego, co się zdarzyło... Byłaś szczęśliwa trzy miesiące, nie płam tego szczęścia, którego trwanie jest niemożliwe!... Zachowaj w sercu jego wspomnienie... Niech cię uczyni silną, to wszystko, czego masz prawo od niego żądać!... Kiedyś będziesz dumna z tego co uczyniłaś, i całe życie będziesz miała szacunek dla siebie samej... Mówi do ciebie człowiek, który zna życie... błaga ciębie ojciec... No, Małgorzato, daj mi dowód, że kochasz naprawdę mego syna... Odwagi!

MAŁGORZATA

Do siebie.

A więc co bądź by uczyniła, upadła istota nie podniesie się nigdy! Bóg jej przebaczy może, ale świat będzie nieugięty! W istocie, jakież ty masz prawo zajmować w sercu rodziny miejsce, które należy się jedynie cnocie?... Kochasz?... I cóż stąd?... Ładna mi racja! Jakikolwiek dałabyś tej miłości dowód, nie uwierzą ci, i słusznie! Co ty nam mówisz o miłości, o przyszłości?... Spójrzże na swoją brudną przeszłość!... Któryż mężczyzna chciałby cię nazwać żoną?... Które dziecko chciałoby cię nazwać matką?... Ma pan słuszność; wszystko, co pan mówi, mówiłam i ja sobie ze zgrozą... że jednak mówiłam sama sobie, nie umiałam tego wysłuchać do końca... Pan mi to powtarza, zatem to jest prawda! Trzeba jej ulec... Mówi mi pan w imię swego syna, w imię córki, to i tak wielka łaska z pańskiej strony, że powołujesz się na takie imiona! Więc dobrze! Powie pan kiedyś tej pięknej i czystej dziewczynie, bo dla niej chcę poświęcić moje szczęście — powie jej pan, że była niegdyś kobieta, która miała już tylko jedną w świecie nadzieję, jedną myśl, jedno marzenie... i że zaklęta jej imieniem, kobieta ta wyrzekła się wszystkiego, zgniotła serce swoje własnymi rękami i umarła z tego, bo ja z tego umrę, tak, panie, i wówczas może Bóg mi przebaczy.

PAN DUVAL

Z mimowolnym wzruszeniem.

Biedna kobieta!

MAŁGORZATA

Żałuje mnie pan, zdaje się mi nawet, że pan płacze, dziękuję za te łzy, uczynią mnie tak silną, jak pan tego pragnie. Żąda pan, bym się rozstała z pańskim synem dla jego spokoju, dla jego honoru, dla jego przyszłości? Niech pan rozkazuje, jestem gotowa.

PAN DUVAL

Trzeba mu powiedzieć, że go już nie kochasz.

MAŁGORZATA

Uśmiechając się smutnie.

Nie uwierzy.

PAN DUVAL

Trzeba wyjechać.

MAŁGORZATA

Pojedzie za mną.

PAN DUVAL

W takim razie...

MAŁGORZATA

Czy pan wierzy, że kocham Armanda, że kocham go miłością bezinteresowną?

PAN DUVAL

Tak, Małgorzato.

MAŁGORZATA

Czy pan wierzy, że miłość ta stała się szczęściem i odkupieniem mego życia?

PAN DUVAL

Wierzę.

MAŁGORZATA

A więc, niech mnie pan uściska, tak jakby pan uściskał swoją córkę, a ja panu przysięgam, że ten pocałunek, jedyny naprawdę czysty, jaki kiedykolwiek otrzymałam, pozwoli mi pokonać moją miłość. Zanim tydzień upłynie, syn pański wróci do domu, może nie-szczęśliwy na jakiś czas, ale wyleczony na zawsze: przysięgam panu także, że nigdy nie dowie się o tym, co tu zaszło między nami.

PAN DUVAL

Ściskając ją.

Jesteś dobra i szlachetna, Małgorzato, ale obawiam się...

MAŁGORZATA

O, niech się pan nie obawia, będzie mnie nienawidził. *Dzwoni. Wchodzi Anna.* Poproś panią Duvernay, aby przyszła.

ANNA

Słucham panią.

Wychodzi.

MAŁGORZATA

Do pana Duval.

Proszę o ostatnią łaskę!

PAN DUVAL

Mów, pani, mów.

MAŁGORZATA

Za kilka godzin Armand uczuje największą boleść, jakiej zaznał i jakiej zazna może w życiu. Będzie potrzebował serca kochającego, niech pan będzie w pobliżu, niech pan będzie przy nim. A teraz rozstańmy się: lada chwila może wrócić, wszystko byłoby stracone, gdyby nas ujrzał razem.

PAN DUVAL

Ale co pani uczyni?

MAŁGORZATA

Gdybym powiedziała, obowiązkiem pańskim byłoby mnie powstrzymać.

PAN DUVAL

Co mogę uczynić dla ciebie w zamian za to, co ci będę zawdzięczał?

MAŁGORZATA

Możesz, kiedy już umrę i kiedy Armand będzie przeklinał mą pamięć, możesz mu wyznać, że go kochałam i że dałam tego dowód. Słyszę kroki, żegnaj pana, nie zobaczymy się zapewne nigdy, bądź pan szczęśliwy!

Pan Duval wychodzi.

SCENA PIĄTA

MAŁGORZATA sama — później PRUDENCJA.

MAŁGORZATA

Na stronie.

Mój Boże, dodaj mi siły.

Pisze list.

PRUDENCJA
Kazałaś mnie zawołać, droga Małgorzato?
MAŁGORZATA
Tak, chciałam ci dać pewne zlecenie.
PRUDENCJA
Co takiego?
MAŁGORZATA
Ten list.
PRUDENCJA
Do kogo?
MAŁGORZATA
Spójrz. *Zdumienie Prudencji kiedy czyta adres.* Jedź zaraz.

SCENA SZÓSTA

MAŁGORZATA — *później* ARMAND.

MAŁGORZATA
Sama, pisze dalej.
A teraz list do Armanda. Co ja mu napiszę? Mam uczucie, że ja szaleję, albo że mi się śni. To przecież niepodobiestwo! Nigdy się nie zdobędę... Nie można żądać od ludzkiej istoty więcej niż może uczynić!

ARMAND
Który przez ten czas wszedł i zbliżył się do Małgorzaty.

Co ty robisz, Małgorzato?

MAŁGORZATA
Wstając i mnąc list.

Armand!... Nic, drogi mój!

ARMAND

Pisałaś?

MAŁGORZATA

Nie... tak.

ARMAND

Skąd ta bladeść, to pomieszenie? Do kogo pisałaś, Małgorzato? Daj mi ten list.

MAŁGORZATA

To do ciebie, Armandzie, ale błagam cię, na imię nieba, pozwól bym ci go nie oddała.

ARMAND

Myślałem, że już skończyły się między nami sekrety i tajemnice?

MAŁGORZATA

I podejrzenia, prawda?

ARMAND

Przebacz! ale ja jestem wzburzony.

MAŁGORZATA

Co się stało?

ARMAND

Ojciec przybył!

MAŁGORZATA

Widziałeś go?

ARMAND

Nie, ale zostawił mi przykry list. Dowiedział się o moim schronieniu tutaj, o moim życiu z tobą. Ma przybyć dziś wieczór, to będzie ciężka przeprawa, bo licho wie, co mu mogli nagadać i z czego będę się musiał tłumaczyć, ale zobaczy cię, a skoro cię zobaczy, pokocha! Zresztą mniejsza! Zależę od niego, prawda, ale, jeżeli będzie trzeba, potrafię pracować.

MAŁGORZATA

Na stronie.

Jak on mnie kocha! *Głośno.* Nie trzeba drażnić ojca, drogi mój!... Przyjdzie tutaj, powiadasz?... Więc dobrze, oddałę się, aby mnie nie widział od razu, ale wrócę, będę tu, przy tobie... Rzucę się do jego stóp, będę go błagała tak, że nas nie rozłączy.

ARMAND

Jak ty to mówisz, Małgorzato! Tu się coś dzieje! To nie wiadomość, którą ci przyniosłem, wprawiła cię w taki stan! Ty się ledwie trzymasz na nogach... Tu wisi jakieś nieszczęście! Ten list...

Wyciąga rękę.

MAŁGORZATA

Wstrzymuje go.

Ten list zawiera coś, czego nie mogę ci powiedzieć!... Ty wiesz, są rzeczy, których nie można ani powiedzieć, ani pozwolić czytać przy sobie... Ten list, to dowód mojej miłości dla ciebie... Przysięgam ci to na naszą miłość... nie pytaj więcej!

ARMAND

Zachowaj ten list, Małgorzato, wiem wszystko! Prudencja powiedziała mi wszystko dziś rano, dlatego udałem się do Paryża. Znam poświęcenie, jakie chciałaś dla mnie uczynić... Gdy ty pracowałaś dla naszego szczęścia, ja zająłem się nim również... Wszystko już ułożone... I to jest ta tajemnica, której nie chciałaś mi zwierzyć!... Jak ja ci odwdzięczę tyle miłości, droga, jedyna Małgorzato?!

MAŁGORZATA

A więc teraz, kiedy wiesz wszystko, pozwól mi odejść...

ARMAND

Odejść?

MAŁGORZATA

Oddalić się przynajmniej!... Czyż twój ojciec nie może tu przybyć lada chwila?... Ale ja będę tuż, o dwa kroki, w ogrodzie, z Gustawem i Mimi... Na pierwsze twoje wołanie przybędę... Uspokoisz ojca, jeśli jest zagniewany, a potem urzeczywistnimy nasz projekt, nieprawdaż?... Będziemy pędzili życie razem i będziemy się kochali jak dawniej... szczęśliwi tak, jak jesteśmy od trzech miesięcy!... Bo ty jesteś szczęśliwy, nieprawdaż?... Powiedz, to tak słodko słyszeć... A jeżeli ci sprawiłam kiedy jaką przykrość, przebac mi, to nie była moja wina, bo ja cię kocham ponad wszystko w świecie! I jakkolwiek dałabym ci dowód miłości, ty byś mną nie pogardzał, ani mnie nie przeklinał!...

ARMAND

Ale co znaczą te łzy?

MAŁGORZATA

Potrzebowałam wypłakać się nieco... a teraz, widzisz, jestem spokojna... Idę do Gustawa i Mimi... Jestem tu obok, wciąż twoja, zawsze gotowa śpieszyć do ciebie, kochająca cię zawsze!

Wychodzi, śląc mu pocałunki.

SCENA SIÓDMA

ARMAND — *potem ANNA.*

ARMAND

Droga Małgorzato! Jak ona drży na myśl o rozstaniu! *Dzwoni.* Jak ona mnie kocha! *Do Anny, która wchodzi.* Anno, gdyby się o mnie pytał jakiś pan, mój ojciec, wprowadzisz go zaraz tutaj.

ANNA

Dobrze, proszę pana.

Wychodzi.

ARMAND

Niepotrzebniem się lękał... Ojciec mnie zrozumie... Przeszłość umarła... Zresztą co za różnica między Małgorzatą a innymi kobietami!... Spotkałem Olimpię, wciąż zajęta zabawą i rozrywkami... Widać te, które nie kochają, muszą wypełniać zgiełkiem pustkę serca. Daje bal za kilka dni, zaprosiła nas oboje, mnie i Małgorzatę, tak jakbyśmy mieli kiedykolwiek wrócić do tego świata!... Och, jakże czas wydaje mi się długi, kiedy jej nie ma... Co to za książka?... *Manon Lescaut!* Kobieta, która kocha, nie robi tego, co ty zrobiłaś, Manon!... Skąd się ta książka wzięła tutaj?

Czyta, otwierając w jakimś miejscu.

ANNA

Wchodzi z lampą i wychodzi.

ARMAND

Czyta.

„Przysięgam ci, drogi kawalerze, że jesteś bóstwem mego serca, i że ciebie jednego mogę kochać tak, jak kocham, ale czy nie widzisz, duszo moja droga, że w położeniu, w jakimśmy się znaleźli, wierność byłaby bardzo głupią cnotą?... Czy myślisz, że może być mowa o czułościach, kiedy się nie ma chleba?... Głód przyprawilby mnie o fatalną omyłkę, wydałabym ostatnie tchnienie, mniemając, że to jest westchnienie miłości... Ubóstwiam cię, bądź tego pewny... ale pozwól mi na jakiś czas zakrzętnąć się koło naszego losu... Biada temu, kto wpadnie w moje sieci! Pracuję nad tym, aby uczynić mego kawalera bogatym i szczęśliwym! Brat mój udzieli ci wiadomości o twojej Manon... powie ci, że płakała nad koniecznością rozstania...” *Rzuca książkę ze smutkiem, trwa kilka chwil w zadumie.* Miała słuszność, ale ona nie kochała, bo miłość nie umie rozumować!... *Idzie do okna.* Przygnębiła mnie ta lektura... Ta książka kłamie!... *Dzwoni.* Siódma!... Ojciec już nie przyjdzie dzisiaj... *Do Anny, która wchodzi.* Poproś panią, aby tu przyszła.

ANNA

Zakłopotana.

Pani nie ma, proszę pana.

ARMAND

Gdzież jest?

ANNA

Wyjechała... Kazała powiedzieć, że wróci niebawem.

ARMAND

Czy pani Duvernay pojechała z nią razem?

ANNA

Pani Duvernay wyjechała na kilka chwil przed panią.

ARMAND

Dobrze... *Sam.* Gotowa jeszcze pojechać do Paryża, aby się zająć tą sprzedażą! Na szczęście uprzedziłem Prudencję, znajdzie jakiś sposób, aby temu przeszkodzić... *Spogląda przez okno.* Zdaje mi się, że widzę jakiś cień w ogrodzie... To pewnie ona! *Woła.* Małgorzato! Małgorzato! Małgorzato!... Nikogo... *Wychodzi i woła.* Anno! Anno!... *Wraca i dzwoni.* I Anna nie odpowiada... Co to ma znaczyć?... Ta pustka przejmuje mnie chłodem... Jest jakieś nieszczęście w tym milczeniu... Czemu pozwoliłem Małgorzacie się oddalić?... Ona coś kryła przede mną... Płakała!... Czyżby mnie oszukiwała?... Ona! W chwili, gdy myśli o tym, aby mi poświęcić wszystko!... Ale może jej się coś stało!... Może jest ranna!... Może nie żyje!... Muszę wiedzieć...

Idzie w stronę ogrodu, w drzwiach spotyka się twarzą w twarz z postaćem.

SCENA ÓSMA

ARMAND — POŚLANIEC.

POŚLANIEC

Czy pan Armand Duval?

ARMAND

To ja.

POŚLANIEC

List do pana.

ARMAND

Skąd?

POŚLANIEC

Z Paryża.

ARMAND

Kto go wręczył?

POŚLANIEC

Jakaś pani.

ARMAND

A jak dostaliście się do domu?

POŚLANIEC

Furtka była otwarta, nie spotkałem nikogo, zobaczyłem światło w oknie, myślałem...

ARMAND

Dobrze już, zostaw mnie!

Posłaniec wychodzi.

SCENA DZIEWIĄTA

ARMAND — *potem PAN DUVAL.*

ARMAND

List od Małgorzaty... Czemu jestem tak wzruszony?... Z pewnością czeka mnie gdzieś i pisze, abym tam przybył... *Otwiera list. Drżę cały! Ech, jakież dziecko ze mnie! Przez ten czas pan Duval wchodzi i staje za synem. „W chwili, gdy otrzymasz ten list, Armandzie...” Wydaje okrzyk gniewu, odwraca się i widzi ojca. Rzuca się, szlochając, w jego ramiona. Och! Ojcze! Ojcze!*

AKT IV

Bardzo wykwintny salon w mieszkaniu Olimpii. Orkiestra, tańce, ruch, światło.

SCENA PIERWSZA

GASTON — ARTUR — DOKTOR — PRUDENCJA — ANAIS — GOŚCIE — później SAINT-GAUDENS i OLIMPIA.

GASTON

Który trzyma bank w bakaracie.

Stawiajcie, panowie!

ARTUR

Ile w banku?

GASTON

Sto ludwików.

ARTUR

Stawiam pięć franków na prawo.

GASTON

Warto było pytać, ile w banku, po to aby postawić pięć franków.

ARTUR

Czy wolisz, żebym postawił dziesięć ludwików na słowo?

GASTON

Nie, nie, nie! *Do Doktora.* A ty, doktorze, nie grasz?

DOKTOR

Nie.

GASTON

Cóż ty tam robisz?

DOKTOR

Rozmawiam ze ślicznymi paniami, dają się poznać.

GASTON

Zyskujesz na poznaniu!

DOKTOR

Owszem, zyskuję, wcale nieźle.

Dokoła stołu śmiechy, rozmowa.

GASTON

Jeżeli tak mamy grać, oddaję bank komu innemu.

PRUDENCJA

Czekaj, stawiam dziesięć franków.

GASTON

Gdzież są?

PRUDENCJA

U mnie w kieszeni...

GASTON

Śmiejąc się.

Dałbym piętnaście, żeby je zobaczyć...

PRUDENCJA

Och! Zapomniałam sakiewki!

GUSTAW

Twoja sakiewka zna swoje rzemiosło... Masz, weź tych dwadzieścia franków.

PRUDENCJA

Oddam ci je...

GASTON

Nie gadajże głupstw! *Rozdaje karty.* Mam dziewięć!

Zgarnia pieniądze.

PRUDENCJA

Zawsze wygrywa!

ARTUR

Przegrałem pięćdziesiąt ludwików!

ANAIS
Doktorze, wylecz Artura z jego choroby piłowania ludzi.

DOKTOR
To choroba młodości, która przejdzie z wiekiem.

ANAIS
Mówi, że przegrał pięćdziesiąt ludwików, a miał w kieszeni dwa, jak tu przyszedł.

ARTUR
Czegóż to dowodzi? To dowodzi, że jestem winien dziewięćset sześćdziesiąt franków...

ANAIS
Żal mi tego, komu jesteś winien.

ARTUR
Mylisz się, moja droga, ja płacę moje długi, wiesz o tym dobrze...

GASTON
Dalej panowie, stawiać, nie jesteśmy tu dla zabawy!

OLIMPIA
Wchodząc z Saint-Gaudensem.
Ciagle gracie?

ARTUR
Ciagle.

OLIMPIA
Saint-Gaudens, daj mi dziesięć ludwików, chciałabym pograć trochę.

GASTON
Olimpio, twój bal jest czarujący!

ARTUR
Saint-Gaudens wie, ile kosztuje!

OLIMPIA
Nie on wie, ale jego żona!

SAINT-GAUDENS
Ślicznie powiedziane! Paradne! — A, jesteś, doktorze! *Cicho.* Muszę się pana porażdzić... miewam zawroty głowy...

DOKTOR
Ba!

OLIMPIA
O co on się pytał?

DOKTOR
Zdaje mu się, że ma chorobę mózgu.

OLIMPIA
Zarozumiałec!... Przegrałam! Saint-Gaudens, graj za mnie i staraj się wygrać.

PRUDENCJA
Saint-Gaudens, pożycz mi pan trzy ludwiki...
Saint-Gaudens daje jej.

ANAIS
Saint-Gaudens, przynieś mi pan lodów.

SAINT-GAUDENS
Za chwilę.

ANAIS
W takim razie opowiedz nam historię o żółtej dorożce.

SAINT-GAUDENS
Idę! Idę!
Wychodzi.

PRUDENCJA
Do Gastona.
Ty pamiętasz historię o żółtej dorożce?

GASTON
Czy pamiętam?... Myślę sobie! Przecież to u Małgorzaty Olimpka chciała nam ją opowiadać... Prawda?... Czy Małgorzata jest tutaj?

OLIMPIA
Ma przyjść.
GASTON
A Armand?
PRUDENCJA
Armanda nie ma w Paryżu... Cóż wy nie wiecie, co się stało?
GASTON
Nie!
PRUDENCJA
Rozeszli się.
ANAIS
Ba!
PRUDENCJA
Tak, Małgorzata go rzuciła.
GASTON
Kiedy?
ANAIS
Przed miesiącem, i dobrze zrobiła.
GASTON
Czemu?
ANAIS
Zawsze trzeba rzucić mężczyznę, zanim on nas rzuci...
ARTUR
Panowie, gramy, czy nie gramy?
GASTON
O, jakiś ty nudny! Czy ty myślisz, że ja będę się męczył rozdawaniem kart dla twoich pięciu franków? Wszyscy Arturowie są jednacy! Szczęściem, ty jesteś ostatnim Arturem!
SAINT-GAUDENS
Wraca.
Anais, masz swoje lody!
ANAIS
Długo to trwało, staruszk, ale ostatecznie, w twoim wieku...
GASTON
Wstając.
Panowie, bank pękł! — Kiedy pomyślę, że gdyby mi kto powiedział: Gastonie, mój chłopcze, dostaniesz pięćset franków pod warunkiem, że będziesz wykladał karty całą noc, nie przyjąłbym, to pewnie! I oto dwie godziny już wykładam, aby przegrać dwa tysiące franków! Ładna zabawa!
Inny gość bierze bank.
SAINT-GAUDENS
Nie grasz już?
GASTON
Nie!
SAINT-GAUDENS
Pokazując dwóch gości grających w écarté w głębi.
Trzymasz za którym z nich?
GASTON
Nie mam zaufania... Czy to ty ich zaprosiłeś?
SAINT-GAUDENS
To przyjaciele Olimpiii... Poznała ich zagranicą.
GASTON
Cacani są!
PRUDENCJA
Och! Armand!

SCENA DRUGA

CIŻ i ARMAND.

GASTON

Do Armanda.

Mówiliśmy o tobie przed chwilą...

ARMAND

I coście mówili?

PRUDENCJA

Mówiliśmy, że pan jest w Tours i że pan nie przyjdzie.

ARMAND

Omyliliście się...

GASTON

Kiedyś przyjechał?

ARMAND

Przed godziną.

PRUDENCJA

I cóż, drogi Armandzie, co nam powiesz nowego?

ARMAND

Nic, Prudencjo... A ty?

PRUDENCJA

Widziałeś Małgorzatę?

ARMAND

Nie...

PRUDENCJA

Ma przyjść.

ARMAND

Zimno.

W takim razie ją zobaczę.

PRUDENCJA

Jak ty to mówisz!

ARMAND

Jakże mam mówić?

PRUDENCJA

Więc serce już uleczone?

ARMAND

Zupełnie.

PRUDENCJA

Już nie myślisz o niej?

ARMAND

Powiedzieć, że zupełnie nie myślę, byłoby kłamstwem... Ale Małgorzata dała mi odprawę w sposób tak brutalny, iż wydałem się sam sobie wielkim głupcem, że ją kochał... bo ja byłem naprawdę w niej bardzo zakochany...

PRUDENCJA

I ona kochała cię bardzo, i kocha cię zawsze trochę... Ale był czas, żeby się z tobą rozstała!... Już mieli ją licytować.

ARMAND

A teraz, zapłacone?

PRUDENCJA

Zupełnie.

ARMAND

I to pan de Varville płaci?

PRUDENCJA

Tak!

ARMAND

Więc wszystko jak najlepiej?

PRUDENCJA

Są ludzie umyślnie na to stworzeni... Słowem, nareszcie doszedł do celu... odkupił jej konie, klejnoty, cały jej dawny zbytek... Toteż jest bardzo szczęśliwa!

ARMAND

Wróciła do Paryża?

PRUDENCJA

Oczywiście... Nie chciała ani zajrzeć do Auteuil od czasu, jak pan wyjechał... To ja przywiozłam stamtąd wszystkie jej rzeczy, a nawet i pańskie... To mi przypomina, że mam panu oddać różne przedmioty, odbierze je pan u mnie... Małgorzata zatrzymała tylko mały pugilaresik z pańską cyfrą... jeżeli panu na nim zależy, upomnę się u niej.

ARMAND

Wzruszony.

Niech go zachowa.

PRUDENCJA

Poza tym nigdy jeszcze jej nie widziałam w takim usposobieniu... Prawie nie sypia, ugania po balach... trawi tak całe noce... Niedawno po jakiejś kolacji leżała trzy dni w łóżku, a kiedy doktor jej pozwolił wstać, znów zaczęła na nowo, nie dbając, że może to przypłacić życiem... Jeżeli tak pójdzie dalej, to nie potrwa długo... Czy pan zamierza ją odwiedzić?

ARMAND

Nie, pragnę nawet uniknąć wszelkich wyjaśnień... Przeszłość umarła na apopleksję, niech Bóg przyjmie jej duszę, o ile miała duszę...

PRUDENCJA

Widzę, że pan jest rozsądny... to ślicznie!

ARMAND

Spostrzegając Gustawa.

Droga Prudencjo, oto jeden z moich przyjaciół, któremu chciałbym coś powiedzieć... Czy pozwolisz?...

PRUDENCJA

Ależ... *Idzie do gry.* Stawiam dziesięć franków!

SCENA TRZECIA

CIŻ i GUSTAW.

ARMAND

Nareszcie! Dostałeś mój list?

GUSTAW

Tak, skoro tu jestem.

ARMAND

Zastanawiałeś się, czemu cię prosiłem, abyś przyszedł na tę zabawę, która tak mało cię nęci?...

GUSTAW

W istocie!

ARMAND

Czy dawno nie widziałeś Małgorzaty?

GUSTAW

Od czasu, jak ją widziałem z tobą.

ARMAND

Zatem nie wiesz nic?

GUSTAW

Nic... Powiedz mi...

ARMAND

Myślałeś, że Małgorzata mnie kochała? Nieprawdaż?

GUSTAW

I jeszcze myślę.

ARMAND

Dając mu list Małgorzaty.

Czytaj!

GUSTAW

Przeczytawszy.

To Małgorzata pisała?

ARMAND

Tak, ona.

GUSTAW

Kiedy?

ARMAND

Przed miesiącem.

GUSTAW

I coś odpowiedział?

ARMAND

Cóż miałem odpowiedzieć?... Cios był tak niespodziany... myślałem, że oszaleję!... Rozumiesz?... Ona, Małgorzata, oszukiwała mnie, mnie, który ją tak kochałem!... Stawowczo te dziewczyny nie mają duszy!... Potrzebowałem prawdziwego przywiązania, aby móc przeżyć to, co się stało!... Dałem się zabrać ojcu jak bezwładną rzecz... Przybyliśmy do Tours. Sądziłem zrazu, że potrafię tam żyć... nie spałem, dławilem się... Nadto kochałem tę kobietę, aby mogła mi się stać tak w jednej chwili obojętną!... Trzeba mi było ją kochać albo znienawidzić!... Wreszcie nie mogłem tam wstrzymać, zdawało mi się, że umrę, jeżeli jej nie ujrzę, jeżeli mi nie powtórzy sama tego, co napisała... Co się stanie, sam nie wiem, ale coś się stanie z pewnością... i mogę potrzebować przyjaciela...

GUSTAW

Jestem na twoje usługi, kochany Armandzie!... Ale na Boga, zastanów się, masz do czynienia z kobietą! Zniewaga wyrządzona kobiecie, to prawie nikczemność!

ARMAND

Trudno! Ma kochanka, ten może żądać ode mnie rachunku! Jeżeli popełnię nikczemność, mam dosyć krwi, aby ją zapłacić!

SŁUŻĄCY

Oznajmia.

Panna Małgorzata Gautier! Baron de Varville!

ARMAND

Oni!

SCENA CZWARTA

CIŻ — VARVILLE — MAŁGORZATA.

OLIMPIA

Idąc ku Małgorzacie.

Tak późno!

VARVILLE

Idziemy prosto z Opery.

Varville ściska dłonie mężczyzn.

PRUDENCJA

Do Małgorzaty.

Jak się miewasz? Dobrze?

MAŁGORZATA

Doskonale!

PRUDENCJA

Cicho.

Armand jest tutaj.

MAŁGORZATA

Zmieszana.

Armand?

W tej chwili Armand, który zbliżył się do stołu gry, spogląda na Małgorzatę, ona uśmiecha się doń nieśmiało, on kłania się jej chłodno.

MAŁGORZATA

Źle zrobiłam, że przyszłam na ten bal!

PRUDENCJA
Przeciwnie... prędzej czy później musieliście się spotkać z Armandem... im wcześniej,
tym lepiej...

MAŁGORZATA
Mówił z tobą?

PRUDENCJA
Tak.

MAŁGORZATA
O mnie?

PRUDENCJA
Oczywiście!

MAŁGORZATA
I co powiedział?

PRUDENCJA
Że nie ma do ciebie żalu, że dobrze zrobiłaś...

MAŁGORZATA
Tym lepiej, jeżeli tak... ale to niemożliwe, zanadto zimno mi się uklonił i za błady
jest!

VARVILLE
Cicho do Małgorzaty.
Małgorzato, pan Duval jest tutaj...

MAŁGORZATA
Wiem...

VARVILLE
Przysięgasz mi, że nie wiedziałas o jego obecności, kiedy tu przyszedłaś?

MAŁGORZATA
Przysięgam.

VARVILLE
I przyrzekasz mi nie mówić z nim?

MAŁGORZATA
Przyrzekam... ale nie mogę przyrzec, że mu nie odpowiem, jeżeli on do mnie prze-
mówi... Prudencjo, zostań przy mnie...

DOKTOR
Do Małgorzaty.
Dobry wieczór pani!

MAŁGORZATA
A, to pan, doktorze! Jak mi się pan przygląda!

DOKTOR
Zdaje mi się, że to najlepsze co mogę uczynić, gdy jestem w pani obecności...

MAŁGORZATA
Wydaję się panu zmieniona, nieprawdaż?

DOKTOR
Niech pani więcej dba o siebie, błagam panią... Przyjdę panią odwiedzić jutro, aby
panią połączyć.

MAŁGORZATA
Wybornie, niech mnie pan łaje, będę pana za to kochała... Czy pan już idzie?

DOKTOR
Nie... ale niedługo.. Codziennie, od pół roku, muszę odwiedzać tego samego chorego,
o tej samej godzinie...

MAŁGORZATA
Co za wierność!
Doktor ściska jej rękę i oddala się.

GUSTAW
Zbliża się do Małgorzaty.
Dobry wieczór, Małgorzato!

MAŁGORZATA
O, jakim rada, że cię widzę, mój pocciwy Gustawie! Czy Mimi jest tutaj?

GUSTAW
 Nie...

MAŁGORZATA
 Przepraszam, Mimi nie powinna znajdować się tutaj... Kochaj ją mocno, Gustawie,
 to tak dobrze być kochaną!

Ociera oczy.

GUSTAW
 Co pani?

MAŁGORZATA
 Och, jestem bardzo nieszczęśliwa!

GUSTAW
 No, niech pani nie płacze... Po co pani tu przyszła?

MAŁGORZATA
 Czyż ja jestem panią swojej woli?... A zresztą, czyż nie trzeba mi się oszołomić?...

GUSTAW
 Posłuchaj mnie, Małgorzato... Wyjdź stąd jak najprędzej!

MAŁGORZATA
 Czemu?

GUSTAW
 Bo nie wiadomo, co się może zdarzyć... Armand...

MAŁGORZATA
 Armand mię⁵ nienawidzi i gardzi mną... nieprawdaż?...

GUSTAW
 Nie, Armand cię kocha... Widzisz, jaki on jest zgorączkowany? Nie panuje nad sobą...
 Mogłoby przyjść do zajścia między nim a panem Varville... Udaj, że ci niedobrze... i idź!

MAŁGORZATA
 Pojedynek o mnie między Varvillem a Armandem?... To prawda, trzeba mi iść stąd!

Wstaje.

VARVILLE
Zbliża się do niej.
 Dokąd idziesz?

MAŁGORZATA
 Jestem cierpiąca... chcę wrócić do domu...

VARVILLE
 Nie, nie jesteś cierpiąca, Małgorzato. Chcesz iść, ponieważ pan Duval jest tutaj i po-
 nieważ nie zwraca na ciebie uwagi, ale rozumiesz, że ja nie chcę, ani nie powinienem
 opuszczać placu dlatego, że on tu jest! Przyszliśmy na bal, więc zostaniemy!

OLIMPIA
Głośno.
 Co grali dziś w Operze?

VARVILLE
Faworytę.

ARMAND
 Historię kobiety, która zdradza swego kochanka.

PRUDENCJA
 Fe! Jakie to pospolite!

ANAIS
 I nieprawdziwe! Nie ma kobiety, która by zdradzała swego kochanka.

ARMAND
 Ręczę pani, że są!

ANAIS
 Gdzie?

ARMAND
 Wszędzie!

⁵mię — daw. nieakcentowana forma D.lp zaimka *ja*; dziś: mnie. [przypis edytorski]

OLIMPIA

Tak, ale są kochankowie i kochankowie.

ARMAND

Tak jak są kobiety i kobiety.

GASTON

Doprawdy, Armandzie, grasz jak szaleniec.

ARMAND

Chcę doświadczyć przysłowia: „Nieszczęśliwy w miłości, szczęśliwy w grze”.

GASTON

Musisz być tedy diabło nieszczęśliwy w miłości, bo jesteś wściekle szczęśliwy w grze!

ARMAND

Mam zamiar wygrać majątek dziś wieczór, a kiedy zrobię dużo pieniędzy, osiądę sobie na wsi...

OLIMPIA

Sam?

ARMAND

Nie, z osobą, która mi już raz towarzyszyła, a potem opuściła mnie... Może, gdy będę bogatszy... *Na stronie*. Czy ona nic nie odpowie?...

GUSTAW

Przestań, Armandzie... Patrz, co się dzieje z tą biedną istotą!

ARMAND

To paradna historia, muszę ją wam opowiedzieć... Jest tam pewien jegomość, który zjawia się na końcu, istny *deus ex machina*, cudowny egzemplarz!

VARVILLE

Panie Duval!

MAŁGORZATA

Cicho do Varville'a.

Jeżeli wyzwiesz pana Duval, nie zobaczysz mnie już w życiu!

ARMAND

Do Varville'a.

Czy pan do mnie coś mówił?

VARVILLE

W istocie, tak pan szczęśliwie gra, że pańska wena mnie kusi. Rozumiem tak dobrze użytek, jaki pan chce zrobić z wygranej, że pragnę, aby pan wygrał jak najwięcej i proponuję panu partyjkę!

ARMAND

Patrząc mu w twarz.

Przyjmuję chętnie.

VARVILLE

Stojąc przed Armandem.

Trzymam sto ludwików!

ARMAND

Zdziwiony i pogardliwy.

Zgoda na sto ludwików! Z której strony?

VARVILLE

Z tej, po której pan nie stawia...

ARMAND

Sto ludwików na lewo!

VARVILLE

Sto ludwików na prawo!

GASTON

Prawo... cztery... lewo... dziewięć... Armand wygrał.

VARVILLE

Zatem dwieście ludwików!

ARMAND

Trzymam dwieście ludwików! Ale niech pan uważa, bo jeżeli przysłowie mówi: „Nieszczęśliwy w miłości, szczęśliwy w grze” — powiada także: „Szczęśliwy w miłości, nieszczęśliwy w grze”.

GASTON

Sześć — osiem! Znow Armand wygrywa!

OLIMPIA

Ślicznie! Widzę, że baron zapłaci wilegiaturę pana Duval.

MAŁGORZATA

Do Olimpii.

Mój Boże, jak się to skończy!

OLIMPIA

Aby odciągnąć towarzystwo.

Panowie, do stołu! Wieczera podana!

ARMAND

Czy gramy dalej?

VARVILLE

Nie, nie w tej chwili.

ARMAND

Winien jestem panu rewanż... Służę panu, w grze, którą pan wybierze...

VARVILLE

Niech pan będzie spokojny, skorzystam z pańskiej gotowości...

OLIMPIA

Ujmując ramię Armanda.

Diabelne masz szczęście!

ARMAND

A, widzę, że mnie tykasz, kiedy wygrywam!

VARVILLE

Idziesz, Małgorzato?

MAŁGORZATA

Za chwilę, mam powiedzieć parę słów Prudencji.

VARVILLE

Jeżeli za dziesięć minut nie przyjdiesz do nas, wrócę tu po ciebie, uprzedzam cię, Małgorzato!

MAŁGORZATA

Dobrze, dobrze, idź już!

SCENA PIĄTA

PRUDENCJA — MAŁGORZATA

MAŁGORZATA

Sama.

Trzeba być spokojną, trzeba, aby wierzył w to nadal... Czy będę miała siłę dotrzymać danej obietnicy?... Boże, spraw, aby mną gardził i nienawidził mnie, skoro to jest jedyny sposób uniknięcia nieszczęścia! Oto on!

SCENA SZÓSTA

MAŁGORZATA — ARMAND.

ARMAND

Wzywała mnie pani?

MAŁGORZATA

Tak, Armandzie, chciałam z tobą pomówić!

ARMAND

Niech pani mówi... słucham... Chce się pani uniewinnić?

MAŁGORZATA

Nie, Armandzie, nie będzie o tym mowy... Błagam cię nawet, abyś nie poruszał przeszłości...

ARMAND

Ma pani słuszność... zbyt jest dla mnie haniebna...

MAŁGORZATA

Nie znęcaj się nade mną, Armandzie! Wysłuchaj mnie bez wzgardy! Armandzie, podaj mi rękę.

ARMAND

Nigdy! Jeżeli to jest wszystko, co mi pani miała do powiedzenia...

Robi krok ku drzwiom.

MAŁGORZATA

Kto byłby przypuszczał, że odepchniesz rękę, którą do ciebie wyciągam! Ale nie o to chodzi, Armandzie... Trzeba, abyś wyjechał!

ARMAND

Abym wyjechał?

MAŁGORZATA

Tak, abyś wrócił do ojca i to zaraz!

ARMAND

I czemuż to, proszę pani?

MAŁGORZATA

Bo pan de Varville cię wyzwie, a ja nie chcę, aby się zdarzyło nieszczęście przeze mnie...

ARMAND

Zatem radzi mi pani, abym uciekał przed wyzwaniem?! Radzi mi pani podłość?... Jakąż inną radę mogłaby dać kobieta taka jak pani?...

MAŁGORZATA

Armandzie, przysięgam ci, że od miesiąca tyle cierpiałam, że ledwo mam siłę to wyrazić, czuję, jak choroba moja wzmaga się i pali mnie. W imię minionej miłości, w imię wszystkiego, co wycierpię jeszcze, Armandzie, w imię twojej matki i siostry, uciekaj ode mnie, wracaj do ojca i zapomnij nawet mego imienia, jeśli zdołasz.

ARMAND

Rozumiem panią: drżysz o swego kochanka, który stanowi pani majątek! Mógłbym cię zrujnować jednym strzałem z pistoletu lub pchnięciem szpady, to byłoby w istocie wielkie nieszczęście!

MAŁGORZATA

Mógłbyś zginąć, Armandzie! Oto nieszczęście!

ARMAND

Co ci zależy na tym, czy ja żyję, czy ja zginę! Kiedy mi napisałaś: „Armandzie, zapomnij o mnie, jestem kochanką innego”, czy troszczyłaś się o moje życie?... Jeżeli nie umarłem po tym liście, to dlatego, żeby się pomścić. A ty myślałaś, że to się skończy w ten sposób, że ty mi złamiesz serce, a ja się o to nie upomnę u ciebie, ani u twego współnika?... Nie pani, nie!... Wróciłem do Paryża, między mną a panem Varville poleje się krew... Choćbyś miała i ty życiem to przyplacić, ja go zabiję, przysięgam!

MAŁGORZATA

Pau de Varville jest niewinny tego, co się stało.

ARMAND

Pani kochasz go, to dosyć, bym go nienawidził.

MAŁGORZATA

Wiesz dobrze, że go nie kocham, że nie mogę kochać tego człowieka!

ARMAND

Więc czemu mu się oddałaś?

MAŁGORZATA

Nie pytaj, Armandzie!... Nie mogę ci tego powiedzieć...

ARMAND

Więc ja ci powiem!... Oddałaś mu się, bo jesteś dziewczyna bez serca i bez wiary, bo miłość twoja należy do tego, kto za nią płaci, ponieważ z serca swego uczyniłaś towar... Ponieważ w obliczu poświęcenia, jakie miałaś dla mnie uczynić, zabrakło ci odwagi i twoje instynkty wzięły górę. Ponieważ człowiek, który poświęcił ci życie, który ci oddał swój honor, mniej był dla ciebie wart niż konie, powóz i kolia z diamentów.

MAŁGORZATA

A więc tak, zrobiłam to wszystko! Tak, jestem podłą i nędzną istotą, która cię nie kochała... Oszukałam cię! Ale im bardziej jestem nikczemna, tym bardziej nie powinieneś narażać dla mnie życia twojego i życia tych, co cię kochają... Armandzie, błagam cię na kolanach, jedź, opuść Paryż i nie oglądaj się za siebie.

ARMAND

Dobrze, ale pod jednym warunkiem...

MAŁGORZATA

Przyjmę każdy!

ARMAND

Ty pojedziesz ze mną.

MAŁGORZATA

Cofa się.

Nigdy!

ARMAND

Nigdy?!

MAŁGORZATA

O, mój Boże, dodaj mi odwagi!

ARMAND

Biegając do drzwi i wracając.

Śluchaj, Małgorzato, jestem szalony, mam gorączkę, krew moja płonie, mózg kipi, jestem w stanie, w którym człowiek zdolny jest do wszystkiego, nawet do podłości... Wierzyłem przez chwilę, że to nienawiść pcha mnie ku tobie, ale to była miłość, miłość niezwykła, drażniąca, zatruta, pomnożona wyrzutami, wzdargą i wstydem, bo ja gardzę sam sobą za tę miłość po wszystkim, co się stało... Powiedz mi jedno słowo, powiedz, że żałujesz, złóż winę na przypadek, na los, na swoją słabość, a zapomnę o wszystkim! Co mi znaczy ten człowiek?!... Nienawidzę go jedynie o tyle, o ile ty go kochasz... Powiedz tylko, że mnie kochasz jeszcze, przebaczę ci, Małgorzato, uciekniemy od Paryża, to znaczy od całej przeszłości, pójdziemy na kraj świata, jeżeli trzeba, aż tam, gdzie nie ujrzemy żadnej ludzkiej twarzy i gdzie będziemy sami na świecie z naszą miłością!

MAŁGORZATA

Wyczerpana.

Oddałabym życie za godzinę szczęścia, które mi ofiarowujesz, ale to jest niemożliwe!

ARMAND

Jeszcze!

MAŁGORZATA

Dzieli nas przepaść! Bylibyśmy zbyt nieszczęśliwi razem... Nie możemy się już kochać... Jedź, zapomnij o mnie... Tak trzeba, przysięgam!!

ARMAND

Komu?

MAŁGORZATA

Temu, kto miał prawo wymagać tej przysięgi.

ARMAND

Którego gniew rośnie.

Panu de Varville, nieprawdaż?

MAŁGORZATA

Tak...

ARMAND

Chwyta ją za ramię.

Panu de Varville, którego kochasz! Powiedz mi, że go kochasz, a odjadę!

MAŁGORZATA

Więc tak, kocham pana de Varville.

ARMAND

Rzuca ją o ziemię i podnosi na nią obie ręce, po czym biegnie do drzwi i krzyczy do gości zebranych w drugim salonie.

Wejdźcie wszyscy!

MAŁGORZATA

Co ty robisz?

ARMAND

Widzicie tę kobietę?

WSZYSCY

Małgorzata Gautier!...

ARMAND

Tak, Małgorzata Gautier! Czy wiecie, co ona zrobiła?... Sprzedała całe swoje mienie, aby żyć ze mną, tak mnie kochała!... To piękne, nieprawdaż? A wiecie co ja zrobiłem? Postąpiłem sobie jak nędznik! Przyjąłem tę ofiarę, nie dając jej w zamian nic... Ale jeszcze nie jest za późno!... Żałuję tego i wracam, aby naprawić moje winy... Jesteście wszyscy świadkami, że nie jestem nic winien tej kobiecie...

Rzuca jej banknoty.

MAŁGORZATA

Wydaje krzyk i pada na wznak.

Och!!

VARVILLE

Do Armanda ze wzgardą, ciskając mu rękawiczką w twarz.

Stanowczo, panie, pan jest nikczemnikiem!

Goście rzucają się między nich.

AKT V

Sypialnia Małgorzaty, w głębi łóżko, firanki na wpół zasunięte. Na prawo kominek, przed kominkiem kanapa, na której leży Gaston. Pokój oświetla jedynie lampka nocna.

SCENA PIERWSZA

MAŁGORZATA — GASTON.

MAŁGORZATA

Leży i śpi.

GASTON

Podnosząc głowę i nadsluchując.

Zdrzemnąłem się chwilę... Czy ona tylko nie potrzebowała czego ode mnie tymczasem... Nie, śpi... Która godzina?... Siódma... Jeszcze ciemno... Trzeba rozpalić ogień...

Grzebie w ogniu.

MAŁGORZATA

Budząc się.

Anno, daj mi pić!

GASTON

Masz, drogie dziecko!

MAŁGORZATA

Podnosi głowę.

Kto tu jest?

GASTON

Nalewając filiżankę ziółek.

To ja, Gaston...

MAŁGORZATA

Skąd się pan wziął w moim pokoju?

GASTON

Podając jej filiżankę.

Pij najpierw, dowiesz się potem... Czy dosyć słodkie?

MAŁGORZATA

Tak...

GASTON

Byłem urodzony na pielęgniarkę.

MAŁGORZATA

A gdzie Anna?

GASTON

Śpi... Kiedy przyszedłem tu o jedenastej wieczór, aby się dowiedzieć o ciebie, biedna dziewczyna upadała ze zmęczenia, a mnie przeciwnie, wcale się spać nie chciało... Ty już spałaś. Powiedziałem jej, żeby się położyła. Siadłem tu na kanapie przy ogniu i wybornie spędziłem noc... Bardzo mi było miło słuchać, jak śpisz, miałem uczucie, że to ja sam śpię... Jak się czujesz dziś rano?

MAŁGORZATA

Dobrze, mój poczciwy Gastonie, ale po co się tak męczysz?...

GASTON

Tyle nocy spędzam na balach! Że parę ich spędzę na czuwaniu przy chorej!... A przy tym miałem ci coś powiedzieć...

MAŁGORZATA

Co miałeś mi powiedzieć?

GASTON

Ty jesteś w kłopotach...

MAŁGORZATA

Jak to w kłopotach?

GASTON

Tak, trzeba ci pieniędzy... Kiedy przyszedłem wczoraj, zastałem w salonie komornika, wyprosiłem go za drzwi, zapłaciłem mu... Ale to nie wszystko, nie ma tu pieniędzy, a potrzeba ich. Ja nie mam dużo... Przegrałem w ostatnich czasach sporo i porobiłem masę niepotrzebnych sprawunków na nowy rok... *Ściska ją.* I możesz być pewna, że życzę ci,

aby był dobry i szczęśliwy!... Ale zawsze wygrzebałem jakichś dwadzieścia pięć ludwików, które kładę do tej szufladki. Kiedy się skończą, znajdziemy nowe.

MAŁGORZATA

Wzruszona.

Cóż za serce! I powiedzieć, że to ty, pustak, jak cię nazywają, ty, który byłeś zawsze tylko moim przyjacielem, czuwasz nade mną i myślisz o mnie...

GASTON

To zawsze tak... A teraz, czy wiesz, co zrobimy?

MAŁGORZATA

Powiedz!

GASTON

Jest wspaniały czas... Przespałeś osiem godzin i prześpisz się jeszcze trochę... Między pierwszą a trzecią będzie wspaniałe słońce, wstąpię po ciebie, zawiniesz się dobrze, pojedziemy trochę na spacer, a w nocy znowu kto będzie dobrze spał? Mała Małgosia...

MAŁGORZATA

Postaram się mieć siły...

GASTON

Będziesz miała, będziesz! *Wchodzi Anna.* Chodź, Anno, chodź! Pani się obudziła...

SCENA DRUGA

CIŻ — ANNA.

MAŁGORZATA

Zmęczona byłaś, moja biedna Anno?

ANNA

Trochę, proszę pani...

MAŁGORZATA

Otwórz okno i wpuść nieco światła... Wstanę...

ANNA

Otwierając okno i wyglądając na ulicę.

Proszę pani, doktor idzie.

MAŁGORZATA

Pocziwy doktor! Zawsze ode mnie zaczyna swoje wizyty... Gastonie, otwórz drzwi, kiedy będziesz wychodził... Anno, pomóż mi wstać!

ANNA

Ale proszę pani...

MAŁGORZATA

Ja chcę!

GASTON

Do zobaczenia!

Wychodzi.

MAŁGORZATA

Do zobaczenia!

Podnosi się i opada, wreszcie podtrzymywana przez Annę idzie do kanapy, doktor wchodzi na czas, aby ją posadzić.

SCENA TRZECIA

MAŁGORZATA — ANNA — DOKTOR.

MAŁGORZATA

Dzień dobry, drogi doktorze! Jakiś ty miły, że myślisz o mnie od rana! Anno, idź, zobacz, czy nie ma listów...

DOKTOR

Niech mi pani da rękę... *Bierze jej rękę.* Jak się czujemy?

MAŁGORZATA

Źle i lepiej! Źle na ciele, lepiej na duchu... Wczoraj wieczór taki miałam lęk przed śmiercią, że posłałam po księdza, byłam smutna, zrozpaczona, bałam się umrzeć... przyszedł ksiądz, porozmawiał ze mną godzinę i rozpacz, strach, wszystko uniósł z sobą... Wówczas zasnęłam i dopiero się obudziłam...

DOKTOR

Wszystko idzie dobrze, droga pani... Przrzekam pani zupełny powrót do zdrowia w pierwszych dniach wiosny...

MAŁGORZATA

Dziękuję ci, doktorze... to twój obowiązek mówić w ten sposób... Kiedy Bóg powiedział, że kłamstwo jest grzechem, zrobił wyjątek dla lekarzy, pozwolił im kłamać tyle razy w dniu, ilu odwiedzają chorych. *Do Anny, która wraca*. Co ty przynosisz, Anno?

ANNA

Podarki, proszę pani...

MAŁGORZATA

Prawda! To dziś pierwszy stycznia!... Ileż wydarzeń od ostatniego roku! Przed rokiem o tej porze siedzieliśmy przy stole, śpiewaliśmy, witaliśmy rok, który się zrodził, tym samym uśmiechem, którym żegnaliśmy rok umarły... Gdzie ten czas, dobry doktorze, kiedyśmy się śmiali jeszcze?... *Otwierając paczki*. Pierścionek z biletem od Saint-Gaudensa! Zaczne serce! Bransoleta z kartą hrabiego de Giray, który przysłała mi to z Londynu... Cóż za krzyk by podniósł, gdyby mnie ujrzał w tym stanie!... O, cukierki... Doprawdy, ludzie nie zapominają tak łatwo, jak myślałam! Pan masz małą siostrzeniczkę, doktorze!

DOKTOR

Tak, pani.

MAŁGORZATA

Niech jej pan zanieśe wszystkie te cukierki, od dawna ich już nie jadam. *Do Anny*. To wszystko?

ANNA

Jest list.

MAŁGORZATA

Kto może pisać do mnie? *Bierze list i otwiera*. Zanieś tę paczkę do powozu doktora. *Czyta*. „Moja droga Małgorzato! Dwadzieścia razy byłam u ciebie i nigdy mnie nie przyjęto, nie chciałabym wszakże, aby ciebie brakowało przy najszcześniejszym wydarzeniu mego życia... Wychodzę 1 stycznia za mąż, to noworoczny podarek Gustawa. Mam nadzieję, że nie zechcesz ominąć tego obrzędu, bardzo prostego, skromnego, który odbędzie się o 9-tej rano w kaplicy św. Teresy w kościele św. Magdaleny. Ściskam cię ze wszystkich sił szczęśliwego serca. Mimi”. Jest więc szczęście dla wszystkich, tylko nie dla mnie! Ech, niewdzięczna jestem... Doktorze, zamknij okno... zimno mi... i podaj mi przybór do pisania...

Kryje głowę w rękach, doktor bierze z kominka kałamarz i podaje jej teczkę.

ANNA

Cicho do doktora, kiedy się oddalił.

I cóż, panie doktorze?

DOKTOR

Potrząsając głowę.

Bardzo źle!

MAŁGORZATA

Na stronie.

Myślą, że ja nie słyszę... *Głośno*. Doktorze, bądź pan taki uprzejmy i, przejeżdżając, oddaj ten list w kościele, gdzie się odbywa ślub Mimi, ale niech jej doręczą aż po ceremonii. *Pisze list, składa i pieczętuje go*. O, ma pan, i dziękuję, *Ściska mu rękę*. Niech pan nie zapomni i niech pan prędko wraca, jeżeli pan będzie mógł.

Doktor wychodzi.

SCENA CZWARTA

MAŁGORZATA — ANNA.

A teraz zrób trochę porządku w tym pokoju. *Dzwonek*. Ktoś dzwoni, idź otwórz.

Anna wychodzi.

ANNA

Wracając.

To pani Duvernoy chciała by się widzieć z panią.

MAŁGORZATA
Niech wejdzie.

SCENA PIĄTA

CIŻ — PRUDENCJA.

PRUDENCJA

I cóż, droga Małgorzato, jak się miewasz dzisiaj?

MAŁGORZATA

Lepiej, Prudencjo, dziękuję ci.

PRUDENCJA

Wypraw na chwilę Annę, chcę pomówić z tobą sama.

MAŁGORZATA

Anno, idź posprzątać w innych pokojach, zawołam, kiedy będę cię potrzebowała.

Anna wychodzi.

PRUDENCJA

Mam cię prosić o przysługę, droga Małgorzato.

MAŁGORZATA

Mów.

PRUDENCJA

Czy jesteś przy pieniądzach?

MAŁGORZATA

Wiesz, że koło mnie krucho od jakiegoś czasu, ale o co chodzi?

PRUDENCJA

Dzisiaj jest Nowy Rok, muszę zrobić parę podarków, trzeba by mi koniecznie dwustu franków, czy możesz mi ich pożyczyć do końca miesiąca?

MAŁGORZATA

Podnosząc oczy do nieba.

Do końca miesiąca!

PRUDENCJA

Jeżeli ci to sprawia trudność...

MAŁGORZATA

Potrzebowałam trochę tych pieniędzy, które mam...

PRUDENCJA

Zatem nie mówmy już o tym.

MAŁGORZATA

Mniejsza! otwórz tę szufladę...

PRUDENCJA

Którą? *Otwiera różne szuflady.* A, tę w środku.

MAŁGORZATA

Ile tam jest?

PRUDENCJA

Pięćset franków.

MAŁGORZATA

Zatem weź tych dwieście, których potrzebujesz.

PRUDENCJA

A tobie wystarczy reszta?

MAŁGORZATA

Wystarczy, nie kłopotz się o mnie.

PRUDENCJA

Biorąc pieniądze.

Oddajesz mi prawdziwą przysługę.

MAŁGORZATA

Cieszę się, droga Prudencjo!

PRUDENCJA

Żegnam cię, wrócę zajrzeć do ciebie. Lepiej wyglądasz.

MAŁGORZATA

W istocie, lepiej mi.

PRUDENCJA

Niedługo przyjdą cieplejsze dni, powietrze wiejskie postawi cię na nogi.

MAŁGORZATA

Tak, tak.

PRUDENCJA

Wychodząc.

Dziękuję ci jeszcze raz.

MAŁGORZATA

Przyślij mi Annę.

PRUDENCJA

Dobrze

Wychodzi.

ANNA

Wraca.

Znowu przyszła prosić panią o pieniądze.

MAŁGORZATA

Tak.

ANNA

I pani jej dała?...

MAŁGORZATA

Pieniądze to taki drobiazg, a ona podobno tak ich potrzebowała. Ale i nam trzeba pieniędzy, musimy rozdać kolędy. Weź tę bransoletę, którą mi przysłano, sprzedaj i wracaj szybko.

ANNA

Ale tymczasem...

MAŁGORZATA

Mogę pozostać sama, nie będę potrzebowała niczego, nie będziesz siedziała długo, znasz drogę do kupca, dosyć ode mnie kupił od trzech miesięcy.

Anna wychodzi.

SCENA SZÓSTA

MAŁGORZATA

Wyjmuje z zanadru list i czyta.

„Pani, dowiedziałem się o pojedynku Armanda z panem de Varville nie od mego syna, który wyjechał, nawet nie zaszedłszy mnie uściskać. Czy pani uwierzy? Obwinałem panią o ten pojedynek i o ten wyjazd. Dzięki Bogu, życiu pana de Varville już nic nie grozi, a ja wiem wszystko. Dotrzymałaś przysięgi nawet ponad twoje siły, a wstrząśnienia te zachwiały twoje zdrowie. Piszę całą prawdę Armandowi. Jest daleko, ale wróci błagać cię o przebaczenie, nie tylko dla siebie, ale i dla mnie, gdyż byłem zmuszony wyrządzić pani krzywdę i trzeba mi ją naprawić. Staraj się przyjsć do zdrowia, miej nadzieję, twoja dzielność i twoje zaparcie się siebie zasługują na lepszą przyszłość, będziesz ją miała, ja ci to przyrzekam. Tymczasem, przyjm pani zapewnienie o moich uczuciach sympatii, szacunku i oddania. Jerzy Duval. 15 listopada”. Oto sześć tygodni, jak otrzymałam ten list i odczytuję go bez końca, aby nabrać odwagi. Gdybym dostała przynajmniej słówko od Armanda, gdybym mogła doczekać wiosny! *Wstaje i spogląda w lustro.* Jakam ja zmieniona! Jednakże doktor przyrzekł mi uleczyć. Będę cierpliwa. Ale teraz, rozmawiając z Anną, czyż nie wydał na mnie wyroku? Słyszałam, powiedział, że ze mną bardzo źle. Bardzo źle! to jeszcze kilka miesięcy życia, gdyby przez ten czas Armand wrócił, byłabym ocalona. Nowy Rok, to dzień nadziei! Zresztą, ja patrzę rozsądnie. Gdyby ze mną było naprawdę źle, Gaston nie potrafiłby śmiać się przy moim łóżku jak przed chwilą. Lekarz nie odszedłby ode mnie. *W oknie.* Co za radość w każdej rodzinie! Och, jakie ładne dziecko, śmieje się i podskakuje, trzymając swoje zabawki, chciałabym uściskać to dziecko.

SCENA SIÓDMA

ANNA — MAŁGORZATA.

ANNA

Podchodzi do Małgorzaty, położywszy na kominku pieniądze, które przyniosła.

Proszę pani...

MAŁGORZATA

Co tobie, Anno?

ANNA

Pani się dziś czuje lepiej, nieprawdaż?

MAŁGORZATA

Tak, dlaczego?

ANNA

Niech mi pani przyrzeknie, że pani będzie spokojna.

MAŁGORZATA

Co się stało?

ANNA

Chciałam panią uprzedzić... nagłą radość tak ciężko bywa udźwignąć.

MAŁGORZATA

Radość, powiadasz?

ANNA

Tak, pani.

MAŁGORZATA

Armand! Widziałaś Armanda? Armand przyjdzie do mnie!... *Anna daje znak potakujący, biegnąc do drzwi.* Armand! *Zjawia się blady, ona rzuca się mu na szyję, ściska go kurczowo.* Och, to nie ty, to niepodobieństwo, aby Bóg był taki dobry!

SCENA ÓSMA

MAŁGORZATA — ARMAND.

ARMAND

To ja, Małgorzato, ja, tak skruszony, taki niespokojny, tak występny, że nie śmiałem przekroczyć progu tego pokoju. Gdybym nie był spotkał Anny, byłbym został może na ulicy, modląc się i płacząc. Małgorzato, nie przeklinaj mnie! Ojciec napisał mi wszystko! Byłem bardzo daleko od ciebie, nie wiedziałem, dokąd się udać, aby uciec przed miłością i rozpaczą... Wyjechałem jak szalenciec, jechałem dniem i nocą, bez wytchnienia, bez odpoczynku, bez snu, ścigany straszliwymi przeczuciami. Och, gdybym cię nie był zastał, umarłbym, bo to ja cię zabiłem! Nie widziałem jeszcze ojca. Małgorzato, powiedz mi, że przebaczysz nam obu. Och, jakie to szczęście być znowu przy tobie!

MAŁGORZATA

Przebaczyć ci, ukochany mój? to ja sama byłam winna! Ale czy mogłam inaczej zrobić? Chciałam twego szczęścia nawet kosztem mojego. Ale teraz ojciec już nas nie rozdzieli, nieprawdaż? To już nie swoją dawną Małgorzatę odnajdujesz; mimo to, jestem jeszcze młoda, ale ja będę znów piękna, bo jestem szczęśliwa. Zapomnisz wszystko. Zaczniemy życie od dziś.

ARMAND

Już cię nie opuszczę. Słuchaj, Małgorzato, w tej chwili jeszcze opuścimy ten dom. Nie wrócimy nigdy do Paryża. Ojciec wie, kto ty jesteś. Będzie cię kochał jak dobrego ducha swego syna. Siostra moja wyszła za mąż. Przyszłość należy do nas.

MAŁGORZATA

Och! mów do mnie! mów do mnie! Czuję, jak moja dusza wraca z twymi słowami, jak odzyskuję zdrowie pod twoim oddechem. Mówiłam to dziś rano, że jedna rzecz mogłaby mnie ocalić! Nie spodziewałam się jej już, i oto jesteś! Nie będziemy tracić czasu, tak, skoro życie umyka przede mną, zatrzymam je w biegu. Nie wiesz? Mimi wychodzi za mąż. Dziś rano jej ślub z Gustawem. Zobaczymy ją. To nam dobrze zrobi zejść do kościoła, pomodlić się i przyjrzeć się szczęściu drugich. Jakąż niespodziankę zachowała mi Opatrzność na dzień Nowego Roku! Ale powiedz mi raz jeszcze, że mnie kochasz!

ARMAND

Tak, kocham cię, Małgorzato, całe moje życie należy do ciebie.

MAŁGORZATA

Do Anny, która weszła.

Anno, daj mi kapelusze, okrycie.

ARMAND

Pocziwa Anna! Dobrze się nią opiekowałaś, dziękuję!

MAŁGORZATA

Codziennie rozmawialiśmy z nią o tobie, bo nikt nie śmiał wymawiać twego imienia. To ona pocieszała mnie. Mówiła, że się ujrzymy! Nie kłamała. Widziałeś piękne kraje. Zawieziesz mnie tam.

Chwieje się.

ARMAND

Co tobie, Małgorzato, ty bledniesz!...

MAŁGORZATA

Z wysiłkiem.

Nic, jedyny mój, nic! Pojmujesz, że szczęście nie może wejść tak łatwo w serce od tak dawna udręczone.

Siada i przechyla głowę wstecz.

ARMAND

Małgorzato, przemów do mnie! Małgorzato, błagam cię!

MAŁGORZATA

Odzyskując przytomność.

Nie bój się, jedyny mój, wiesz przecież, że zawsze podlegałam takim chwilowym słabościom. Ale to prędko przechodzi... patrz, uśmiecham się, jestem silna, widzisz! To tylko zdumienie, że żyję...

ARMAND

Biorąc ją za rękę.

Ty drżysz!

MAŁGORZATA

To nic! No, Anno, daj mi szal, kapelusz...

ARMAND

Z przerażeniem.

Mój Boże! Mój Boże!

MAŁGORZATA

Próbuje z wysiłkiem iść, po czym zrzuca szal z gniewem.

Nie mogę!

Pada na kanapę.

ARMAND

Anno, biegnij po lekarza!

MAŁGORZATA

Tak, tak, powiedz mu, że Armand wrócił, że ja chcę żyć, muszę żyć... *Anna wychodzi.* Ale jeżeli ten powrót mnie nie ocalił, nic mnie nie ocali. Prędej czy później istota ludzka musi umrzeć od tego, co jej dawało życie. Żyłam miłością, umieram z miłości.

ARMAND

Nie mów tak, Małgorzato, będziesz żyła. Musisz żyć.

MAŁGORZATA

Usiądź koło mnie, blisko, bliźniutko, Armandzie mój, i słuchaj mnie dobrze. Przed chwilą gniewałam się na śmierć, żałuję tego, ona jest potrzebna i kocham ją, skoro zaczęła na ciebie z ostatnim ciosem. Gdyby moja śmierć nie była pewna, ojciec twój nie byłby napisał po ciebie.

ARMAND

Słuchaj, Małgorzato, nie mów już tak, bo ja oszaleję. Nie mów mi, że umrzesz, powiedz, że to być nie może, że tego nie chcesz!

MAŁGORZATA

Choćbym i nie chciała, jedyny mój, musiałabym ustąpić, skoro Bóg tak chce. Gdybym była niewinną dziewczynką, gdyby wszystko we mnie było czyste, może płakałabym na myśl o rozstaniu ze światem, na którym ty zostajesz, bo wówczas przyszłość byłaby pełna nadziei, a przeszłość moja dawałaby mi do niej prawo. Skoro ja umrę, wszystko, co zachowasz ze mnie, będzie czyste; gdybym żyła, zawsze byłyby plamy na mojej miłości... Wierzaj mi, Bóg wie, co robi...

ARMAND

Wstając.

Och! nie mogę już!

MAŁGORZATA

Przytrzymując go.

Jak to! to ja ci muszę dodawać odwagi? No posłuchaj. Otwórz tę szufladę, weź medalion... to mój portret z czasu, gdy byłam ładna! Kazałam go zrobić dla ciebie, zachowaj go, pomoże ci pamiętać o mnie. Ale jeżeli, pewnego dnia, młoda i piękna dziewczyna pokocha cię i ty ją zaślubisz, jak być powinno, jak chcę, aby było, i kiedy znajdzie ten portret, powiedz jej, że to portret przyjaciółki, która, jeżeli Bóg jej pozwolił przycupnąć w najskromniejszym kąciku nieba, modli się za nią i za ciebie. Jeśliby była zazdrosna o przeszłość, jak my kobiety jesteśmy często, jeśli poprosi cię, byś jej uczynił ofiarę z tego portretu, uczyni to bez obawy, bez wyrzutu, to będzie sprawiedliwie i z góry ci to przebaczą. Kobieta, która kocha, zanadto cierpi, nie czując się kochaną... Słyszysz, Armandzie mój, czy dobrze zrozumiałeś?

SCENA DZIEWIĄTA

CIŻ — ANNA — później MIMI — GUSTAW — GASTON.

MIMI

Wchodzi z przerażeniem, ośmiela się w miarę, jak widzi, że Małgorzata się uśmiecha, a Armand jest u jej stóp.

Moja droga Małgorzato, napisałaś mi, że jesteś umierająca, a ja cię zastaję uśmiechniętą i na nogach.

ARMAND

Cicho.

Och, Gustawie, jestem bardzo nieszczęśliwy!

MAŁGORZATA

Jestem umierająca, ale jestem szczęśliwa i szczęście moje przesłania moją śmierć. Więc jesteście po ślubie! Cóż za dziwna rzecz to pierwsze życie, a czym będzie następne?... Będziecie jeszcze szczęśliwsi niż wprzódy. Mówcie o mnie czasami, dobrze? Armandzie, daj mi rękę... Upewniam cię, że to nie jest trudno umierać. *Wchodzi Gaston.* A, to Gaston przyszedł po mnie... Cieszę się, że cię widzę jeszcze, mój drogi Gastonie. Szczęście jest niewdzięczne: zapomniałam o tobie... *Do Armanda.* Bardzo był dobry dla mnie... Och! to dziwne.

Wstaje.

ARMAND

Co takiego?

MAŁGORZATA

Już nie cierpię. Życie wraca we mnie... Czuję spokój, jakiego nigdy nie zaznałam... Ale ja będę żyć! Och, jak mi jest dobrze!

Siada i zdaje się drzemać.

GASTON

Śpi!

ARMAND

Niespokojnie, później z przerażeniem.

Małgorzato! Małgorzato! Małgorzato! *Wielki krzyk. Musi czynić wysiłek, aby wydrzeć rękę z ręki Małgorzaty.* Och! *Cofa się przerażony.* Umarła! *Biegając do Gustawa.* Mój Boże! mój Boże! co się ze mną stanie!

GUSTAW

Do Armanda.

Biedna dziewczyna, ona cię bardzo kochała...

MIMI

Która ukłękła.

Śpi spokojnie, Małgorzato! wiele ci będzie przebaczone, bo bardzo kochałaś!...

Śmierć, Kochanek

Miłość

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/dumas-dama-kameliowa>

Tekst opracowany na podstawie: Aleksander Dumas (syn), Dama Kameliowa. Dramat w 5 aktach, tłum. i wstęp T. Boy-Żeleński, nakł. Księgarnia F. Hoesicka, Warszawa 1930.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>).

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Paulina Choromańska.

Publikację wsparli i wsparły: AS, kjonca, eboo.pl, stw, Zofia, Donna, WJG, Piotr Kowlik, Radek, Ewa Jalochowska, kaczmro, Tajemniczy Anonim, fanka, magda b, pokrak, Tajemnicza Anonimka, M. Sz., Antoni Małz, Mikołaj Przezbórski, Paweł Chojnacki, polskaonline.org, apohllo, wariat, Artur Krzemiński, mb1960, Tomaszul, Paweł Szymczak, krst, JL, Tomasz Koźbial, Piotr Glazer, Budyn, Ijon, ryzy, dama kameliowa, Olorin, jakub olejniczak, kashka, Ag, Sefora, Julius Strangepork, Dawids, kubisie, Lucyna, isaak, pan teraz, jf, Klaudia, katka, Mikołaj Walanus, Tak trzymać!, Franek, Mariusz, Michał Oleszkiewicz, Golden.

Okładka na podstawie: Phoenix Wolf-Ray@Flickr, CC BY 2.0

ISBN 978-83-288-0959-8

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Pomóż uwolnić konkretną książkę, wspierając zbiórkę na stronie wolnelektury.pl.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).